Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WIR ŚWIATA

tygodniowa rewja prasy

Nr. 12 – CENA 40 gr.

WARSZAWA 8-VII-1934 R.

DZIŚ W NUMERZE:

BUNT KRWAWO STŁUMIONY

KONTRREWOLUCJA HITLERA

Rewolucja oddziałów szturmowych została zdławiona, jeszcze zanim zdołała wybuchnąć. Właściwie należałoby wypadki ostatnich dni w Niemczech nazwać kontrrewolucją. Adolf Hitler i Reichswehra, do której Führer w ostatnich decydujących dniach całkowicie się przyłączył, (należałoby raczej powiedzieć: której on się poddał) mogli sobie wyliczyć, że coś się miało wydarzyć, o ile zawczasu się temu energicznej kontrakcji nie przeciwstawi.

Pod przewodnictwem swojego oficjalnego dowócy kapitana Röhma armja szturmowców



Szturmówki.

miała przeprowadzić drugą, prawdziwą brunatną rewolucję.

W jakiś zagadkowy sposób i generał Schleicher był ponoć w tę sprawę wmieszany. Zdaje się, że tu wogóle kilka akcyj sobie przeciwnych, do siebie równoległych, lub ze sobą pokrzyżowanych równocześnie się rozgrywało. Von Papen również przez pewien czas był podejrzewany i trzymany w areszcie. Dla różnych aspirantów do władzy w Niemczech jest sprawą obojętną, z kim i po czyjej stronie rozpoczną akcję, przedewszystkiem chodziło im właśnie — o władzę.

Kto teraz w Niemczech tę władzę posiada? O ile można zorjentować się w biegu wydarzeń, zdaje się, że władza znajduje się w ręku Reichswehry, Stahlhelmu i policji Goeringa. Jak się nazywa osoba, która na najbliższy okres (bo w Niemczech istnieje dziś tylko krótkodystansowy rozwój wypadków) tę władzę na zewnątrz będzie reprezentować, jeszcze niewiadomo. Będzie to zależało od tego, kogo koła feudalne, reprezentowane przez armję, uznają za gwaranta swoich interesów.

Być może, że zgodzą się i na samego Hitlera, ale wtedy on będzie jeszcze w mniejszym stopniu Führerem, niż dotychczas. Będzie mógł tylko skonsumować resztę popularności. Potem i jego poślą na zieloną trawkę. Pożałuje on jeszcze swojej decyzji z ostatniego piątku i swojego wystąpienia przeciwko własnym ludziom. Hitler bez oddziałów szturmowych jest niczem. Im zawdzięcza swoją karjerę i przy ich pomocy mógł władzę utrzymać. Reichswehra słucha rozkazów tylko generała. Jak on będzie się nazywał, to jest obojętne dla dalszego rozwoju wypadków. A ten rozwój bynajmniej jeszcze jako prostolinijny się nie zapowiada.

Należy się wyzbyć jednego złudzenia. Wielu ludzi jest przekonanych, że orjentacja Niemiec po linji życzeń von Papena i najprawdopodobniej dowódców Reichswehry, stanowi szczęście dla Europy. Metody hitlerowskie są nam wstrętne, ale nie wolno się łudzić, że sprawa pokoju zyska na tem, iż stara gwardja pruska zdobędzie władzę. Prace przygotowawcze do wojny chemicznej zostały rozpoczęte jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy — on sam ze swojej strony też się do tego dzieła przyczynił — a pruska klika wojskowa marzy przecież tylko o nowej zawierusze światowej.

„Journal des Debats", Paryż.

A co robi Hitler?

Trudno wyobrazić sobie, że śród tego gwałtownego wiru pokłóconych dygnitarzy, Führer, jako suwerenny arbiter, panujący nad sytuacją, i nad swoją myślą i świadomy swoich sił, czeka chwili korzystnej, by wydać rozkazy. Prawdopodobniej ex-malarz pokojowy sam nie wie, jakiemu świętemu w opiekę się oddać. Zawdzięcza on swoje panowanie pewnym prądom sentymentalnym, które potrafił wytworzyć i rozszerzyć, ale bynajmniej nie jakiemuś programowi mniej lub więcej racjonalnemu. Otóż, nic tak łatwo nie rozpada się w gruzy jak panowanie sentymentalne.

Pertinax, „Echo de Paris", Paryż.

Długa lista niezadowolonych

Niezadowolenie jest prawie ogólne:

a) oficerowie Reichswehry są zazdrośni o awanse swoich kolegów z armji brunatnej;

b) przemysłowcy i kupcy-eksporterzy widzą, że ich interesy są zrujnowane przez bojkot zagranicy i domagają się zaprzestania hecy antysemickiej;

c) junkrzy i latyfundyści protestują przeciw projektom wywłaszczeniowym;

d) ustawa chłopska o dziedziczeniu tylko przez pierworodnych proletaryzuje i radykalizuje większość młodzieży wiejskiej;

e) robotników płatnych pozbawiono wszystkich praw zawodowych i zamknięto ich, w liczbie 23 miljonów, w jednym „Froncie pracy" obowiązkowej, gdzie muszą płacić specjalne podatki. Płace są coraz mniejsze.

f) koszty utrzymania wzrastają powoli, ale nieprzerwanie;

g) ci, których rewolucja wyniosła na powierzchnię, z wyjątkiem kilku najbliższych Führera paladynów, są rozczarowani; skandaliczny sposób życia niektórych dygnitarzy wywołuje oburzenie nawet w szeregach oddziałów szturmowych, gdzie prości szturmowcy konstatują, że naród właściwie zmienił „bonzów";

h) banki obawiają się bolszewizacji i konfiskaty majątków pod postacią przymusowych pożyczek lub kontrybucyj; produkcja przemysłowa i tak jest już podwójnie utrudniona przez ostrą kontrolę dewiz i przez kontrolowany przydział surowców;

i) bezrobotni z wielkich miast są oburzeni, wywozi się bowiem ich na prowincję, gdzie muszą wykonywać roboty przymusowe za utrzymanie; bezrobotnych z Berlina wywozi się umyślnie do Prus Wschodnich, by nie mogli uciec do stolicy na wypadek zaburzeń.

„Le Petit Parisien", Paryż.

Szczury

Opinja publiczna przypomni sobie, że w ostatnich tygodniach czynniki miarodajne ostrzegały przed igraniem z ogniem „drugiej rewolucji". Przypominamy słowa ministra Goebbelsa o tych „szczurach wietrzących katastrofy", na których rząd narodowo-socjalistyczny tylko czeka. Z głębokiem oburzeniem opinja publiczna dowie się teraz, że rzekomo rewolucyjne „siły" połączyły się z czynnikami bezsprzecznie reakcyjnemi.

Przeciwko obydwom stronom akcja rządu zwróciła się w równej mierze; i nawet uznanie zasług poszczególnych spiskowców nie potrafiło wstrzymać ciosu, który w interesie jedności dowództwa, praworządności i czystości niemieckiego życia publicznego, w interesie spokoju i bezpieczeństwa narodu, musiał być wymierzony.

„Berliner Tageblatt", Berlin.

Bunt krwawo stłumiony

W Polsce o rokoszu

Wątpliwe, niezaszczytne zwycięstwo

Wrażenie wręcz wstrząsające sprawia lektura komunikatów o całym tym dramacie. Zarówno z rozkazu Führera, jak zwłaszcza z enuncjacji partji, przebija gorączkowa chęć zohydzenia Roehma i zastrzelonych dowódców S. A. Ludziom, którzy do wczoraj dzierżyli olbrzymią władzę, zarzuca się czyny skandaliczne, występki wstrętne, zapominając, że rzuca to światło na całe środowisko, z którego wyrośli pomordowani i w którem doszli do posiadania i wykonywania olbrzymiej władzy. Jakże dziwnie wygląda potępienie rozrzutności wodzów narodowo-socjalistycznych, gdy w pierwszym szeregu wysłuchujących tego potępienia i triumfatorów dnia wczorajszego stoi minister Goering, człowiek zażywający dzisiaj już w całym świecie, opinji najbardziej rozrzutnego i skłonnego do używania.

A wreszcie w chórze enuncjacyj rozlega się czysto bolszewicki tenor rozkazu przywódcy młodzieży hitlerowskiej, Beldura von Schiracha, który woła: „Młodzież hitlerowska opowiada się za narodowo-socjalistycznem państwem ludowem robotników, chłopów i żołnierzy". Jeszcze moment i padnie słowo: rady robotniczo-żołnierskie. I p. Schirach stoi obok Goeringa, który się opowiada za wielkim przemysłem i junkrami.

Na dziwnych podstawach opiera się wczorajsze zwycięstwo, jeżeli wogóle miało miejsce jakieś zwycięstwo. Bo o tem przekonamy się dopiero po pewnym czasie.

„Kurjer Poranny", Warszawa.

Odrażająca rozprawa

Co znaczy to, co się stało wczoraj?

Oto, ubiegając próby niezadowolonych, min. Goering, człowiek czynu w otoczeniu Hitlera, a mianowicie czynu bezwzględnego, przeprowadził ujęcie lub też i zgładzenie przewódców ruchu, którego hasłem były bodaj rządy szturmówek.

Jednocześnie zaś i szczególnie odrażające zgładzenie przez nasłanych ludzi gen. von Schleichera wraz z żoną, a więc poprzednika Hitlera na stanowisku kanclerza Rzeszy, a przedtem naczelnego polityka Reichswehry, wskazuje, iż istniały jakieś nici między temi dążeniami a niewygasającemi zamysłami rządów Reichswehry, jako ostatniego słowa w Niemczech po znanych próbach, albo poprostu, że przy sposobności chciano i to załatwić.

Odbyło się to wszystko razem krwawo i dosyć błotno, bo odezwa Hitlera do nowego dowódcy oddziałów szturmowych jest, w swych 12-tu punktach, pod pozorem zaleceń namiętnem zniesławieniem usuniętych zarzutami złych obyczajów, hulanek, zbytku, w sposób bardzo demagogiczny, a obwieszczenie biura prasowego nac-socj. dodaje do tego jeszcze oskarżenie o styczność z czynnikami zagranicznemi czyli o zdradę.

Razem nie wygląda to wszystko budująco.

„ABC", Warszawa.

Zabija konie przy własnym wozie

Była to równie ponura jak bezskuteczna walka z widmami tych rzeczy, które z pewnością dojrzewały i dojrzewają, ale których jeszcze w świecie rzeczywistym nie było.

Oczywiście w Niemczech istnieje, bo nie może nie istnieć straszliwe wrzenie, ciągle rosnące napięcie niezadowolenia i rozpaczy. Nigdy jeszcze konfrontacja obietnic z ich wykonaniem, programu z jego realizacją nie wypadała tak katastrofalnie, jak w ostatnim roku. Ogromnej większości punktów programu wodza i jego pomocników, rzeczywistość jego wykonania zaprzeczyła w sposób najbardziej oczywisty. Niemcy znajdują się dzisiaj w przepaści ciemnej i tajemniczej. Nazewnątrz otoczone nieufnością, wewnątrz zdezorjentowane gospodarczo i finansowo — przedstawiają obraz budzący niepokój.

Hitler znalazł się w położeniu woźnicy, który nagle na najtrudniejszym zakręcie drogi zabija konie przy swoim wozie...

Nie ulega żadnej wątpliwości, że w Niemczech rozpoczął się w sobotę nowy akt tragedji.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że między Renem a Odrą otwiera się jakiś straszliwy krater. Jak będą wyglądały brzegi tego krateru, na których historja rozsadziła sąsiadów Niemiec? Oto pytanie!

Pom.

„Il. Kurjer Codzienny", Kraków.

Stracony sekret zbawienia ojczyzny

Jakikolwiek obrót przybiorą teraz niemieckie sprawy wewnętrzne, po tym spisku pozostanie zapewne osad przeświadczenia, że Hitler nie jest w posiadaniu sekretu zbawienia ojczyzny. Niemcy są już dostatecznie dojrzałym narodem, aby zrozumieli, że degeneraci i hulaki nie otworzą przed Rzeszą nowej przyszłości, likwidującej błędy ekonomji i grzechy polityki, a naprawiającej moralność.

I znowu zacznie się tam podział na dwa wrogie sobie obozy: prawicowy, chwilowo silny poparciem Reichswehry, i lewicowy, mogący liczyć na zmęczone kryzysem masy i na niewyczerpalne kadry malkontentów.

„Kurjer Warszawski", Warszawa.

Bardzo kłopotliwy komentarz

O wiele prawdopodobniejsze natomiast jest to, że działały tu czynniki, związane z interesami, zagrożonemi w najwyższym stopniu przez Hitlera i jego ruch — żydzi i będące ich narzędziem wolnomularstwo. Czyż trzeba dowodzić, że polityka antyżydowska narodowych socjalistów zagraża podstawowym interesom żydostwa, czyż trzeba przypominać, że żydzi są przyzwyczajeni i wprawieni w działania na terenie międzynarodowym?

Polska zbytnio jest zainteresowana tem, co się w Niemczech dzieje, byśmy mogli patrzeć na ostatnie wypadki obojętnie. Myśli nasze jednak są skłócone, są raczej natury negatywnej — nie możemy życzyć powodzenia działaniom żydowskim i masońskim; nie pragniemy jednak wcale wzmocnienia Niemiec i szybkiego przezwyciężenia przez nie wielkich trudności, jakie mają przed sobą.

„Gazeta Warszawska", Warszawa.

Kto pośredniczył między Röhmem a Schleicherem

Tajemniczą postacią, o której wspomina komunikat prasowy partji narodowo-socjalistycznej, jako o tej, która pośredniczyła między Röhmem a gen. Schleicherem, miał być niejaki p. Oberwurzer, agent partji narodowo-socjalistycznej dla spraw handlowych.

Był on znany ze swoich radykalnych poglądów politycznych i gospodarczych. Jego biuro w Potsdamer Palast jest zamknięte, on sam aresztowany. Według innej wersji pośrednikiem tym miał być Grzegorz Strasser.

„Neue Freie Presse", Wiedeń.

Wielkie plany Schleichera

Poniższe rewelacje o planach v. Schleichera, były przesłane przez korespondenta „Sunday Referee" nim jeszcze nadeszła wiadomość o zamordowaniu generała.

Należy sobie przypomnieć, że generał Schleicher był ostatnim kanclerzem Rzeszy przed Hitlerem, i że pragnął on stworzyć „Społeczną Rzeszę", w której, opierając się na Reichswehrze, częściowo na umiarkowanych związkach zawodowych i częściowo na lewem skrzydle partji narodowo-socjalistycznej, kierowanem przez Grzegorza Strassera, zamierzał realizować politykę pzypominającą w swoich ogólnych zarysach wysiłki prezydenta Roosevelta w Ameryce.

Te perspektywy zaniepokoiły junkrów i ciężki przemysł, w którym dominujący wpływ wywierał Thyssen. Te koła obaliły Schleichera w chwili, kiedy on już był bliski sukcesu, i otworzyły Hitlerowi, którego gwiazda stanowczo już bladła w tej chwili, podwoje pałacu przy Wilhelmstrasse.

Osiemnaście miesięcy hitleryzmu wyleczyło zarówno junkrów, jak i ciężki przemysł z ich niezwykłych sympatyj dla Hitlera i jedni i drudzy nalegają, by on albo spełnił zobowiązania względem nich zaciągnięte, albo by się z drogi usunął.

Widzą oni, że stoją nad brzegiem ruiny i naturalnie pragną oni, co się uda od zagłady ocalić.

Z drugiej strony, dowództwo Reichswehry, mimo pozornego przystąpienia do regime'u hitlerowskiego, jest zaniepokojone polityką zagraniczną. Zdaje ono sobie sprawę z tego, że prowadzi ona do zupełnej izolacji Niemiec. Miarodajne koła Reichswehry patrzą dalej, są one przekonane, że obecna polityka doprowadzić może tylko do wojny, do której Niemcy, ich zdaniem, nie są przygotowane, szczególnie wobec zbliżenia francusko-sowieckiego.

Wszystko to spowodowało radykalny zwrot w polityce Niemiec. Schleicher spodziewa się poparcia kościołów, pozostających w konflikcie z rządem i socjal-demokratycznych mas robotniczych. Spiskowcy zdawali sobie sprawę, że obalenie Hitlera byłoby bezcelowe, gdyby Niemcy nie mogły liczyć na radykalne uzdrowienie swoich finansów i polityki zagranicznej. To też pierwszym krokiem było wysondowanie opinji Moskwy, Paryża i Londynu.

Pertraktacje wypadły korzystnie. Przyszły rząd niemiecki obowiązywał się respektować status quo w Europie, z zastrzeżeniem, że będzie mógł w przyszłości dochodzić swoich praw na drodze pokojowej.

Niemcy miały zaprzestać wszelkiej presji w Saarze, która po obaleniu regime'u hitlerowskiego napewno wróciłaby do kraju macierzystego.

Celem przyszłego rządu w polityce wewnętrznej miało być „Państwo Społeczne", do którego urzeczywistnienia konieczny jest przejściowy okres dyktatury wojskowej. Podczas tego okresu zostaną położone podwaliny normalnej administracji i ustroju parlamentarnego.

Pierwszym krokiem przyszłego rządu miało być przywrócenie stronnictw politycznych. Zbrojenia zostaną zaniechane. Pod nowym rządem Niemcy będą dążyły do pokojowego współżycia w rodzinie narodów i oczywiście powrócą do Ligi Narodów. *„Sunday Referee", Londyn.*

Na co liczą generałowie?

Londyński tygodnik „Clarion" niemal co do joty przewidział rozwój wypadków w szturmówkach.

Władza Hitlera opiera się na dwóch armjach: na Reichswehrze i oddziałach szturmowych. Reichswehr'a jest dobrze uzbrojona, dobrze wyszkolona i posiada znaczne rezerwy. Kierowana i dowodzona wyłącznie przez oficerów armji cesarskiej, jest ona w 70% przynajmniej oddana nacjonalistom i arystokratom, Hugenbergowi, wielkim przemysłowcom i Kurtowi v. Schleicher.

Charakterystyczne jest, że ilekroć Hitler obecnie zwiedza jakieś miasto, udaje on się zawsze do koszar Reichswehry i brata się z żołnierzami. Stara on się zaskarbić sobie sympatje siły dotychczas niezbyt przychylnie do nazizmu usposobionej.

Jeżeli regime hitlerowski ugina się pod ciężarem trudności, armja mogłaby tę sytuację wykorzystać. Toby pociągnęło za sobą rozwiązanie oddziałów szturmowych w radykalnych okręgach, jak zagłębia węglowe, i uwięzienie przywódców miejscowych. Miejscowe grupy narodowych socjalistów najprawdopodobniej zrewoltują się. Możnaby wówczas ogłosić stan wojenny, najpierw w określonych miejscowościach, a potem rozciągnąć go na cały kraj, w miarę jak niepokoje się rozszerzą.

Istotnem źródłem trudności, w jakich obecnie znajduje się rząd narodowo-socjalistyczny, zasadniczą przyczyną rozdźwięku w sferach kierowniczych jest okoliczność, że rząd stracił panowanie nad Oddziałami Szturmowemi, nad tą wielką armją hitlerowską, rekrutującą się przedewszystkiem z mas.

Wrzenie w oddziałach szturmowych

Oddziały szturmowe ulegają w coraz większej mierze wpływom swoich członków ze sfer robotniczych. Idee socjalistyczne rozpowszechniają się. Liczbę szturmowców osadzonych w obozach koncentracyjnych za tendencje rewolucyjne, oceniają na 25.000.

Najsłabszym punktem Oddziałów Szturmowych jest to, że są one licho uzbrojone. Są one dobrze wyszkolone, lecz po ćwiczeniach broń stale bywa zwracana do magazynów wojskowych lub baraków policyjnych.

W domu mają oni najczęściej tylko rewolwery, bagnety i sztylety.

W lipcu Oddziały Szturmowe idą na urlop, co, jak twierdzą, oznacza likwidację.

Jakie byłoby stanowisko przywódców narodowo-socjalistycznych pod dyktaturą wojskową? Hitler byłby prawdopodobnie dzisiejszym Hindenburgiem nowego regime'u. Goering niewielkie obecnie ma znaczenie. Jest on prawicowcem, ale prawica mu już nie ufa. Goebbels pozostaje niebezpieczny przez swoje sympatje lewicowe i swój radykalizm.

Katolicki Anschluss

Ironja dziejów może również sprawić, że wysiłek Hitlera w celu zjednoczenia wszystkich niemców doprowadzi do oderwania się Bawarji od Rzeszy.

Bawarczycy nigdy nie mieli wielkich sympatyj dla prusaków. Obecnie nie znoszą ich jeszcze bardziej, albowiem Bawarja jest z wyjątkiem Frankonji, prawie wyłącznie katolicka.

Wittelsbachowie, królewska rodzina Bawarji, nie rzucili się w tan hitlerowski tak jak głupi Hohenzollernowie. Za kulisami prawdopodobnie toczą się ożywione dyskusje między Wittelsbachami a Kościołem katolickim.

A mówią oni najprawdopodobniej tak:

— Habsburgowie, druga wielka katolicka monarchja, mogą powrócić do Austrji, a Wittelsbachowie do Bawarji. A wtedy dlaczego nie mielibyśmy sobie zrobić naszego własnego katolickiego Anschlussu?

„The Clarion", Londyn.

Hindenburg ciężko chory

Stan zdrowia prezydenta Rzeszy pogorszył się tak dalece, że musiano wezwać do łoża chorego profesora Sauerbrucha. Z poinformowanych kół donoszą, że choroba prezydenta usprawiedliwia najpoważniejsze obawy. Wszelkie audjencje osobistości politycznych wyznaczone na ostatnie dni zostały odwołane.

„Neues Wiener Journal", Wiedeń.

Następca Hitlera — gen. Blomberg

Moltke Trzeciej Rzeszy



Ma lat 56 i jest ministrem Reichswehry. Szczupły mężczyzna, średniego wzrostu, o gładko golonej i pomarszczonej twarzy uczonego. Milczący i tajemniczy panuje on w swojem ministerstwie Reichswehry przy Bendlerstrasse. Rzadko kiedy zjawia się na zebraniach publicznych. Nigdy nie wygłasza publicznych przemówień. Lecz lud go zna i nazywa go „Moltkiem trzeciej Rzeszy".

Generał Blomberg pochodzi z bardzo starej szlacheckiej rodziny pruskiej. Należy on do jednej z tych rodzin, które przez wieki oddawały swoich synów do kadr oficerskich armji pruskiej. W Niemczech nazywają ich „Schwertadel"-szlachtą bojową od miecza. Reprezentuje on tego ducha twardego i surowego militaryzmu, który stanowił i stanowić będzie o losie Niemiec.

Świat mówi o Hitlerze, lecz za Hitlerem stoi Blomberg. Trzecia Rzesza siedzi na bagnetach Reichswehry. Czerwone czy brunatne koszule pojawiają się i mijają, ale polowo-szary mundur armji pruskiej jest jedyną rzeczą, w której każdemu niemcowi do twarzy.

Generał Blomberg dowodził podczas wojny oddziałem w Polsce i we Flandrji. W wielkiej bitwie pod Gorlicami i Tarnowem przerwał front rosyjski. Pod Amiens rozbił dywizje angielskie. Po rewolucji wrócił do Akademji Wojennej, którą był opuścił jako młody oficer. Jego kolegami byli Ludendorf, Schleicher i Oskar v. Hindenburg.

Narodowym socjalistom nie udało się przemycić ani jednego ze swoich członków do Ministerstwa Reichswehry. Urząd przy Bendlerstrasse jest jedynem miejscem w Niemczech, gdzie nazi nie mają żadnego znaczenia. Naczelnym dowódcą Reichswehry jest wciąż Hindenburg, a nie błyszczący Goering. Blomberg z miejsca odmówił wprowadzenia hitlerowskiego pozdrowienia w armji. Pozdrawia on w starym pruskim stylu, a żołnierz Reichswehry krzyczy „hurra", nie „heil".

Generał von Blomberg jest rzeczywistym organizatorem nowoczesnej armji niemieckiej. Nie marzy on o miljonach rekrutów. Jemu potrzeba tylko małej liczebnie, ale zato najlepiej wyszkolonej i w najnowsze materjały wojenne wyposażonej armji.

Motoryzacja Reichswehry jest w toku. Von Blomberg jest również cichym, lecz najwybitniejszym promotorem niemieckich zbrojeń powietrznych. Powiedział on pewnego razu: „Nie trzeba mi ciężkiej artylerji, ani miljonowych armij. Dajcie mi 6.000 aeroplanów, a zobaczycie co potrafię". Dla tego celu narodowi socjaliści i Hitler ogromnie się v. Blombergowi przydali. Mały austrjacki kapral uzyskał poparcie Reichswehry tylko dlatego, że obudził ducha wojennego rasy teutońskiej. Generałowie nigdy inaczej go nie nazywali jak „Doboszem".

Nazi dali Reichswehrze wszystko, nie z miłości, lecz z musu. Blomberg wie, że Reichswehra może skończyć z oddziałami szturmowemi w ciągu 24 godzin. Hitler jest mocny na histerycznych zgromadzeniach ludowych, lecz oko w oko z lodowato grzecznymi generałami Reichswehry objawia się jego kompleks niższości, jako niskiej szarży i austrjaka.

Gdyby regime nazich załamał się i Niemcom groził chaos, generał v. Blomberg obejmie rządy w Niemczech. A ze swoją Reichswehrą może on maszerować w kierunku pokoju lub wojny.

„The Clarion", Londyn.

Nie wolno ratować Hitlera

Von Papen wsadził Hitlera na siodło. Teraz zdaje się świta dlań dzień pokuty. W każdym razie nie jest on człowiekiem, któryby zaryzykował przemówienie tego rodzaju, gdyby konflikt między pewnymi współpracownikami Hitlera, a staro-niemiecką partją konserwatywną, nie stał się paląco ostry.

Byłoby niewybaczalnym błędem, gdyby palcem ruszono, aby ułatwić rządowi narodowo-socjalistycznemu jego istnienie.

Mówię to otwarcie; wewnętrzna sytuacja Niemiec, ich rozkład polityczny, moralny i finansowy składają się na zjawisko, które jest dobrą wróżbą dla Europy.

„The Sunday Referee", Londyn.

Plany ex-kajzera

Ex-Cesarz spodziewa się powrócić do Niemiec jeszcze w tym roku, planując obalenie Hitlera przy pomocy szefów armji.

— Ma on zamiar powrócić do Berlina przed początkiem najbliższego roku, bądź jako osoba prywatna, bądź w charakterze oficjalnym, ale powróci niezawodnie.

Taką przepowiednię uczyniła wobec mnie dzisiaj w zamku Doorn jedna z osobistości, która znajduje się w bliskim, codziennym kontakcie z ex-cesarzem.

Rozłam w rządzie hitlerowskim wywołał wielkie zadowolenie w Doorn. Rozłam ten nie był tam niespodzianką. W ciągu wielu tygodni przedtem cesarz na wygnaniu był w kontakcie z przywódcami Reichswehr'y, od których dowiedział się o planowanej dyktaturze wojskowej, która ma być urzeczywistniona we wrześniu.

— Panu chyba wiadomo, że nigdy nie było oficjalnego kontaktu między ruchem hitlerowskim w Niemczech, a zamkiem w Doorn, — zauważył mój rozmówca.

— Przeciwnie, stosunki te zawsze były złe. Hitlerowcy i zamek Doorn zawsze byli względem siebie wrogo usposobieni.

— Były kajzer nigdy nie spotkał się z Hitlerem. Każdy z nich zawsze uchylał się od spotkania z przedstawicielami drugiej strony. Niechęć, która istnieje między obozem hitlerowskim, a b. kajzerem, ujawniła się publicznie w dniu ostatnich imienin kajzera.

— Niektórzy oficerowie armji niemieckiej wznieśli toasty na cześć b. cesarza. Zostali oni zaaresztowani i ukarani. Przykry ten fakt nie jest ani zapomniany, ani przebaczony na zamku.

— Zajście to spowodowało kompletne zerwanie stosunków między ex-kajzerem a jego najstarszym synem Wilhelmem. Dawny następca tronu, tuż po rewolucji w 1933 r. został aktywnym członkiem partji nazistowskiej ku wielkiemu niezadowoleniu ojca. Książę otrzymał rozkaz przybycia do Doorn. Rozkaz wykonał, ale z pewnem opóźnieniem. Spotkanie między ojcem a synem było najtragiczniejszem zdarzeniem w życiu rodziny cesarskiej. Ojciec i syn spotkali się twarz w twarz, jako dwaj przeciwnicy. Od tego czasu jednak książę przestał bywać na zebraniach nazistowskich.

Mój informator zmienił temat i poruszył sprawę obecnego rozłamu w szeregach hitlerowskich.

Dowiedziałem się, że w ciągu ostatnich kilku tygodni istniało ścisłe porozumienie między zamkiem w Doorn a generałami Reichswehr'y.

— Ex-kajzer — powiada mój rozmówca — jeszcze cieszy się całkowitem poważaniem wśród starych oficerów, którzy wspólnie z pruskimi obszarnikami mają zamiar wpłynąć na prezydenta Hindenburga, aby uwolnił się od Hitlera i całego ruchu hitlerowskiego. Według naszych wiadomości, ich wysiłki z każdym dniem mają coraz większe powodzenie.

— My tutaj nie wierzymy, żeby Hitler utrzymał się przez najbliższą zimę.

— Generał von Blomberg, Minister Spraw Wojskowych i jego oficerowie spodziewają się buntu robotników, którzy prawdopodobnie spróbują rzucić się w objęcia komunistów. Ażeby zapobiec tej katastrofie, Reichswehra z generałem von Blombergiem na czele ma zamiar ogłosić dyktaturę wojskową i stan wojenny.

— Następnym krokiem będzie kres kampanji antyżydowskiej. Wiadomo, że ex-kajzer, który miał wśród swoich przyjaciół przedwojennych wielu żydów, uważa walkę antysemicką Hitlera za szaleństwo. Potem nowi kierownicy państwa niemieckiego będą czynili starania o pomoc finansową ze strony Stanów Zjednoczonych.

— Plany sztabu armji niemieckiej są już gotowe. Hitlerowi dana będzie możność ucieczki do Włoch. Wice-kanclerz von Pappen pozostawiony będzie na swojem stanowisku, aby przywrócić przyjazne stosunki z Watykanem. Baron von Neurath, obecny minister spraw zagranicznych, podejmie kroki, aby Niemcy powróciły do Ligi Narodów.

— Ruch ten zamierza uczynić duże ustępstwa na rzecz Wielkiej Brytanji i Francji. Na tem właśnie ex-kajzer buduje swoje nadzieje przywrócenia panowania dynastji Hohenzollernowskiej w Niemczech. Czuje on, że żaden kraj nie wystąpi czynnie przeciw przywróceniu monarchji Hohenzollernów, o ile Nazi będą obaleni i usunięci od steru państwowego.

„The Daily Herald", Londyn.

Artykuły na tej stronicy pisane były przed stłumieniem rewolty Roehma.

Walki klasowe w N. S. D. A. P. (Narodowo Socjalistycznej Niemieckiej Partji Pracy)



Kapitan Röhm

Uwieńczona pomyślnym rezultatem walka o kasy ciężkiego przemysłu zmusiła narodowo-socj. Partję do zajęcia wrogiego stanowiska wobec walki klas. A jednak, historja N. S. D. A. P. jest historją walk klasowych, które nawet kiedyś programowo były ujęte.

PARTJA ROBOTNICZA

W r. 1920 walne zebranie partji narodowych socjalistów austrjackich i południowo-niemieckich w Linzu opowiedziało się za walką klasową i uznało partję za organizację robotniczą. Ale o walce klasowej w sensie proletarjackim w N. S. D. A. P. nigdy właściwie mowy być nie może. Niemniej jednak N. S. D. A. P. była w swoich początkach partją czysto klasową, a raczej partją zdeklasowanych ofiar rewolucji. Pierwsze kadry partji składały się wyłącznie z byłych i niedoszłych oficerów. Kilku zabłąkanych robociarzy w stylu Antona Drexlera, właściwego twórcy partji, dość szybko przycisnięto do muru.

PARTJA OFIAR INFLACJI

Po ofiarach rewolucji przyszły ofiary inflacji. One tworzyły jądro partji po jej reorganizacji i zadecydowały o obliczu jej propagandy. Wtedy hasło Federa „Złamanie jarzma procentów" stanowiło stalową oś propagandy partji. To jednak nie przeszkodziło kierownictwu wbrew oporowi kilku północnych okręgów, przeciwstawić się wywłaszczeniu książąt niemieckich. Ofiary inflacji przyznawały się jeszcze do własności prywatnej, one właśnie w partji szukały ratunku przed ostateczną proletaryzacją. Z temi siłami partja wywalczyła sobie częściowe zwycięstwo w r. 1929.

PARTJA MIESZCZAŃSKA

Nastąpił nowy dopływ sił, a przedewszystkiem nowych protektorów. Zwycięstwo wyborcze w r. 1930 przyśpieszyło rozwój zdarzeń i od tej chwili zaczyna się właściwa walka klas w łonie N. S. D. A. P. Dla stojących na uboczu objawiało się to tylko w programatyce partyjnej. Syndycy związków przemysłowych oblegali Brunatny Dom i wkrótce zdobyli sobie miejsca w gospodarczem kierownictwie partji. Tezy tych panów były bardzo miłe dla czytelników „Lokalanzeiger'u", a zwłaszcza jego właścicieli, ale bynajmniej nie uwzględniały drobnomieszczańskiego antykapitalizmu starej gwardji partyjnej.

PARTJA CHŁOPSKA

Wkrótce nastąpiły pierwsze rozłamy w partji. Otto Strasser zalecał swój socjalizm, a zwyczajny rokosz żołdacki kapitana Stennesa, uwieńczył się niebawem tanim wawrzynem zdecydowanego antykapitalizmu. Równocześnie wtargnęła nowa warstwa do partji: właściciele dóbr i chłopi. Landbund (zw. chłopski) stawał się z każdym miesiącem coraz bardziej narodowo-socjalistyczny, a polityka agrarna N. S. D. A. P. coraz bardziej dostrajała się do nastrojów i postulatów Landbundu.

PARTJA OFIAR KRYZYSU

Rok 1932 przyniósł kulminacyjne zaostrzenie się rozdźwięków wewnętrznych. Dr. Walter Funk królował w Brunatnym Domu, jako zaufany współpracownik Führera i kierownik polityki gospodarczej partji, Feder poszedł na synekurkę — to znaczy „na trawkę", z drugiej zaś strony Grzegorz Strasser podjął walkę w wielkim stylu przeciwko rewizjonizmowi gospodarczemu Partji. Stał on się rzecznikiem warstw drobnomieszczańskich. Jego znaczenie wzrastało z każdym dniem, aż koniec roku przyniósł jego przedwczesny upadek. Razem z nim uległa i stara drobnomieszczańska gwardja, albowiem tymczasem nowa warstwa szukała schronienia w partji: były to ofiary kryzysu.

Tych było dwa rodzaje. Jedni zjadali jeszcze resztki rozpływających się fortun, albo już byli gruntownie, choć jeszcze nieoficjalnie, zrujnowani. Ci zagrali va banque i postawili wszystko co im jeszcze pozostało, na ostatnią kartę — na narodowy socjalizm. Drudzy zaś to byli paupry, wyparci z procesu produkcji robotnicy, zupełnie zdeklasowane elementy stanu średniego; wszystkich ich nazywano w gwarze partyjnej „die S. A. Proleten" (proletarjusze szturmowi). Z nich zorganizował Röhm siłę, która, oparta o pieniądze ciężkiego przemysłu i kierowana przez jego intelektualistów i agentów, mogła się przeciwstawić Strassertowskiej rewolcie. Jednak cios był tak silny a środki pieniężne partji tak wyczerpane, że partji groziła zagłada.

PARTJA „S. A. PROLETÓW"

Wtedy S. A. Proletarjusze Röhma wywalczyli zwycięstwo wyborcze w Lippe i wykazali, że partja zasługuje na subwencje. Znowu potoczyły się miljony: w czternaście dni później podsunięto N. S. D. A. P. władzę. Ofiary kryzysu, ale tylko górne ich warstwy, zwyciężyły. Stan średni, którego zaufania nadużyto, a który był właściwym wyrazicielem tendencyj antysemickich, skwitowano bojkotem, a potem musiał on patrzeć, jak rząd coraz czulszą opieką otacza banki, domy towarowe i stowarzyszenia spółdzielcze.

PARTJA U WŁADZY

Wkrótce jednak i w puhar zwycięstwa S. A. Proletarjuszy wpadły gorzkie krople. Nadzieje na drugą rewolucję stłumiono. Osiedlanie na roli wciąż jeszcze jest dalekie, a nędza mas taka, jak przedtem. Tymczasem częściowo dobrowolnie, częściowo pod przymusem setki tysięcy ludzi ze wszystkich warstw społecznych przeszły do N. S. D. A. P. i jej organizacyj pomocniczych i w ten sposób *wszystkie przeciwieństwa klasowe, jakie w narodzie niemieckim istnieją, przedostały się do partji samej.*

Do tych przeciwieństw dołącza się jeszcze jedno, zawdzięczające swoje powstanie zwycięskiej partji narodowo-socjalistycznej, a mianowicie, dziedziczni chłopi Darre'go, poprostu tacy, których w Rosji nazywają „kułakami". Tej kategorji przeciwstawia się obecnie już biedota wiejska, która jeszcze nie rewoltuje, ale już dość wyraźnie pomrukuje.

Tak przedstawia się dzisiejszy stan rzeczy. Objawy jego, maskowane przez dyktaturę i jej cenzurę, przedostają się na powierzchnię w postaci konkurencji i rywalizacji coraz nowych kategoryj urzędniczych, rywalizacji oddziałów szturmowych ze sztafetami szturmowemi i t. d. Ale pod powierzchnią tli się zarzewie, a płomienie podziemne niezawsze należą do najmniej niebezpiecznych. W każdym razie ognisko pali się nadal.

„Die Sammlung", Amsterdam.

Czy można żyć na takim świecie?

„Nie mogę żyć dalej na takim świecie!" Tak brzmiało pożegnanie, umieszczone na widocznem miejscu na stole hotelowego pokoju, w którym mój sąsiad, młody Niemiec, zadał sobie śmierć wystrzałem z rewolweru.

Nie był ani Żydem, ani marksistą. Przeciwnie: jego czysto-aryjskie pochodzenie i ujmująca powierzchowność słusznie mogły wzbudzić zazdrość Goebbels'ów, Röhm'ów i innych nieudatnych typów „nordyckich". A mimoto pewnego pięknego poranka zdał sobie jasno sprawę, że świat, w którym żył, nie odpowiadał jego wymaganiom i że on sam nie ma chęci, ani siły, przystosować się do niego.

Ileż to razy, niestety, w podróży okrężnej po niektórych stolicach europejskich, powracało mi na myśl to zdanie mego nieszczęsnego sąsiada z hotelu: „Nie mogę żyć dalej na takim świecie!"

W Paryżu.

Oto jestem w Paryżu, na Polach Elizejskich, tonących w powodzi świateł i barw. Zaledwie oddaliłem się o kilka kroków od hotelu, miałem szczęście spotkać drogą, bliską przyjaciółkę, niemiecką śpiewaczkę, słynną na świat cały. W moich oczach jest ona uosobieniem duszy i muzyki germańskiej. Słysząc ją, śpiewającą oratorjum, czuje się, że jest ona uosobieniem nabożności i pokory religijnej duszy niemieckiej.

Witam się z nią. Zamieniamy kilka słów. Zwierza mi się z głębokiem rozczarowaniem.

— Musiałam wyemigrować. Tak, mieszkam w Paryżu jako uciekinierka!

Zachwycają się nią również i we Francji. Nie brak jej pracy. Otrzymuje doskonałe lekcje prywatne. Nie dręczą jej kłopoty materjalne. A jednak, nie czuje gruntu pod nogami. Czuje się obco.

— Nie podoba się pani Paryż?

— Owszem, bardzo! odpowiada, jestem jednak Niemką.

— Mówi pani po francusku?

— Bardzo dobrze. Jestem jednak Niemką.

— Czemuż tedy schroniła się pani we Francji?

— Bo nie mam już ojczyzny. Jestem Żydówką.

Mówi dalej, z bladym uśmiechem:

— Podczas tych czterech straszliwych lat wojny — gdy mąż mój, w okopach, trzy razy został ranny — cierpiałam i modliłam się za Niemcy. Znosiłam i wtedy i potem z memi dziećmi, ten sam niedostatek, co i inni Niemcy. Bez żalu zrezygnowałam z wszystkich moich oszczędności, pochłoniętych inflacją... Ale oto nowe okrucieństwo i... Nie mogę żyć na takim świecie...!

We Wiedniu.

Pochowano uroczyście śmiertelne szczątki parlamentaryzmu w Austrji. Po czternastomięsięcznem kierowaniu państwem zapomocą dekretów, rząd Dollfus'a uznał, że nadeszła chwila zniszczenia ruchu socjalistycznego. Stał się nieograniczonym dyktatorem. Nowi panowie, naturalnie umundurowani, lubią kroczyć ulicami. Rozkoszują się sytuacją, którą sami uważają za krótkotrwałą. Motloch wiedeński spogląda na nich pogardliwie. Ten tłum bezimienny nie zapomina o tysiącznej rzeszy swych braci, zabitych albo rannych podczas dni lutowych. Nie zapomina także o tysiącach innych braci, uwięzionych — dlatego, że są socjalistami, którzy w ciągu piętnastu lat swoich rządów obdarzyli proletarjat wiedeński licznemi dobrodziejstwami społecznemi.

Pewien robotnik powiedział mi:

— Rząd podaje śmieszną liczbę zabitych robotników. Prawda jest, że mieliśmy conajmniej dwa tysiące sześćset zabitych, mężczyzn, kobiet i dzieci. Ze strony policji też byli zabici, ale ich wdowy i dzieci pobierają pensje. Pozostali przy życiu mają z czego żyć. A nasi?... Nie robi się dla nas nic... Tylko nasi towarzysze z zagranicy wzruszają się naszym losem. Ach! po wojnie zachłystywano się frazesami sławiącemi braterstwo, międzynarodowego ducha, jaki od tej chwili będzie ożywiał narody! Co pozostało jeszcze z tego szlachetnego płomienia międzynarodowego?... Biedny, konający płomyczek socjalistycznej Międzynarodówki. Oto świat, towarzyszu, w którym się obracamy... Świat, gdzie ja przynajmniej, nie czuję się zdolnym do życia...

W Berlinie.

Jestem na olbrzymiej wystawie hitlerowskiej „Deutsches Volk — Deutsche Arbeit" Jest to powtórzenie słynnej wystawy, zorganizowanej w zeszłym roku przez Mussoliniego w Rzymie, a mającej na celu wychwalanie twórczej pracy faszyzmu. Cała ludność Berlina, jak również i przybysze z kraju tłoczą się w salach, gdzie każdy przedmiot jest pochwałą hitleryzmu. Uwagę moją jednak pochłania nietyle sama wystawa (dość pospolita), co krótkie rozmowy i przelotne scenki, które łowię uchem i okiem.

...Nauczyciele i profesorowie berlińscy przyprowadzają, oczywiście, swoje szkoły na tę wystawę i silą się na wytłómaczenie młodzieży sensu i znaczenia wszystkiego, co ukazuje się ich oczom. Naprzykład wielkie malowidło na ścianie służy do objaśnienia teorji Mendla o dziedziczności. Na jednym z obrazów widzi się dwie świnki morskie, czarną i białą. Pod każdą z nich widnieje cała litanja wad i zalet, cnót i przywar. Słyszę, jak ten poczciwy „Herr Professor" tłómaczy swym uczniom:

„Kolor czarny wyobraża wady, a kolor biały — zalety. Profesor Mendel dowiódł naukowo, że wady każdej jednostki pochodzą zawsze z dziedziczności i że, jeśli przeważają — zaczynają górować nad zaletami. Oto dlatego nam Niemcom, wyobrażonym tutaj pod postacią białej świnki morskiej, zależy tak bardzo na tem, aby zachować czystość rasy i nie dopuszczać żadnego skrzyżowania z Żydami — czarnemi świnkami morskiemi, obciążonemi dziedzicznie wadami, których chcielibyśmy uniknąć...

Dzieci, wśród których znajduje się również kilku małych Żydków, słuchają w skupieniu tych uczonych(!) wywodów(!) o teorji Mendla.

Gdzieindziej znowu inne malowidła ścienne wyobrażają straszliwe karykatury Żydów. — Brzydota tych postaci długo jeszcze będzie prześladować mnie w snach.

A oto cała kolekcja *„fizjonomij"* typowo izraelickich, noszących następujący napis: „Nasycie się dobrze temi rysami. Oto nasi wrogowie!..."

O nie, w tej galerji okropności nie znalazłem portretu żadnego z tych licznych pisarzy, artystów i uczonych żydowsko-niemieckich, laureatów nagrody Nobla i tych, których genjusz przyczynił się tak bardzo do sławy literackiej lub artystycznej współczesnych Niemiec.

Stojąc przed temi koszmarnemi obrazami, profesor czy też nauczyciel wykłada jasno swoim uczniom o typowych cechach fizjonomji żydowskiej. Później, na tem samem miejscu, poddaje swoje audytorjum egzaminowi na ten sam temat. Jak już powiedziałam, pomiędzy uczniami znajduje się również kilku małych Żydków. Ach, cóż za radość, co za miła wesołość wstrząsa całą klasą, kiedy poczciwy „Herr Professor" zadaje dzieciakom żydowskim pytania na temat brzydoty ich rasy; albo kiedy sami odkryją podobieństwo pomiędzy karykaturami ściennemi a tym Żydem lub brudną Żydówką, których tam, u siebie, w domu, czczą i kochają, i których witają pełnemi szacunku słowami: *„tatusiu"* i *„mamusiu"*.

...Droga Trzecia Rzeszo, choć jestem dobrym chrześcijaninem, powiadam ci: mogłaś naprawdę zapewniać cały świat o swej niewinności; mogłaś również oskarżać swych emigrantów o podłe oszczerstwo. „Dźwięk" twych oburzonych protestów zawsze brzmieć będzie w mych uszach tonem fałszu i hipokryzji, i w głębi mego własnego serca budzi się pytanie: „Jak żyć na takim świecie?"

W Rzymie.

W Rzymie udało mi się przypadkowo przekonać (a przychodzi mi to łatwo), że, wbrew temu, w co byłoby się skłonnym uwierzyć, małe dzieci nie rodzą się w mundurach. Stosunkowo późno, bo w piątym roku ich życia wciela się je do „balillax" i zaczyna się w nie wpajać wojskowe wychowanie. Od tej chwili muszą przybierać marsowe miny, energiczne a ponure, po których poznaje się prawdziwych faszystów.

Może jest to złudzenie wzrokowe, powstałe z mojej winy, ale cała Italja wydaje mi się zmilitaryzowana. Do przedziału, w którym jechałem z trzema podróżnymi — Włochami (w mundurach) wszedł kontroler biletów (w mundurze) w towarzystwie wojskowego (w mundurze) z bagnetem. (Czy bagnet ten, pytałem sam siebie, ma służyć do lepszego dziurkowania biletów?)

Na ulicach Rzymu roi się od mężczyzn w mundurach. Znużony tym strumieniem ludzkim, wałęsałem się dalej z pewnym przyjacielem-Włochem. I nagle, ku memu przyjemnemu zdziwieniu znalazłem się na jednej ze spokojnych, pięknych arteryj stolicy, na ulicy, którą wielkiemi krokami przecinali sami cywile. Byłem tem doprawdy zachwycony i rzekłem do mego przewodnika — przyjaciela:

— Co za spokojna ulica; nie czuje się na niej czatowników, nie wydziela z siebie tego gorączkowego niepokoju, który wyczuwa się u was wszędzie, gdzie spotyka się żołnierzy, żandarmów i zbirów...

Przyjaciel mój przyglądał mi się przez chwilę podejrzliwie:

— Żartujesz, mój drogi!... Na tej ulicy mieszka Mussolini. A ci wszyscy poczciwi, odświętnie ubrani mieszczanie, ci spacerowicze po cywilnemu — to detektywi, którzy czuwają nad bezpieczeństwem naszego kochanego Duce!

...Tej nocy czytałem w łóżku książkę napisaną przez Mussoliniego na temat „Doktryn politycznych i społecznych faszyzmu". Z nocnej mej lektury dowiedziałem się, że o ile chodzi o przyszłość ludzkości faszyzm nie wierzy ani w możliwość, ani nawet w celowość stałego pokoju. Faszyzm — czytałem dalej — odrzuca pacyfizm, który wypiera się walki i znieważa ducha poświęcenia. Jedynie wojna może obudzić w człowieku tę najwyższą energję i tę wzniosłą odwagę, które składają się na prawdziwą szlachetność charakteru. Żaden dowód męstwa nie może się równać z tym, który przejawia się podczas walki za ojczyznę. Dlatego też faszyzm pozostanie na zawsze zdecydowanym przeciwnikiem doktryn, nawołujących do pokoju.

Szlachetne te frazesy huczą mi bezustannie w głowie i wobec tego, że moja znajomość pięknego języka włoskiego pozostawia wiele do życzenia, tłumaczę je dowolnie: „Czy warto żyć na takim świecie? *„Politiken"* *Kopenhaga*

Japoński trick opjumowy

50-LETNI PLAN MANDŻURSKI.

Rosja ma plan pięcioletni. Hitler często mówi, że ma plan czteroletni. Obecnie pozazdrościli im Japończycy w swojem groteskowem państwie Mandżuko i postanowili, że państwo to także musi mieć swój plan — ale conajmniej pięćdziesięcioletni.

Plan ten pozornie ma na celu wykorzenienie nałogu opjumowego w Mandżuko, w rzeczywistości jednak kryje się pod tem zupełnie co innego.

Od chwili, gdy Japonja przejęła Mandżurję i przekształciła ją na Mandżuko, co według jej zapewnień miało na celu stłumienie bandytyzmu i zaprowadzenie ładu i porządku, kraj ten, prócz bandytyzmu, prawie nic więcej nie posiada.

Pisma japońskie same przyznają publicznie, że na ten nowy kraj rzuciły się najgorsze żywioły, które zaczęły go eksploatować pod osłoną japońskich bagnetów i zamachów bombowych.

ŻYCIE POD TEROREM.

Wszelkiego rodzaju bandy — japońskie, chińskie, mandżurskie — otrzymały pełną swobodę w Mandżuko. Ludność, szczególnie wiejska, żyje w nieustannym strachu i niebezpieczeństwie, nad wszystkiem zaś ciąży groźne widmo nieuniknionej bliskiej wojny, planowanej przez Japonję.

W rezultacie wielkie obszary gruntu uprawnego w Mandżurji leżą odłogiem, nikt bowiem nie chce zadawać sobie trudu uprawiania roli, wiedząc, że plon będzie skradziony lub zniszczony jeszcze przed zbiorem.

Japończycy zaniepokoili się. Ogarnęła ich obawa, że kraj doprowadzony będzie do ruiny i że nie będą mogli wyciągać z niego żadnych zysków. Szczególnie zaś obawiali się upadku korzystnego eksportu ziemiopłodów z Mandżurji.

Zaczęli wobec tego szukać jakiegoś innego produktu rolnego, który mógłby być uprawiany w tak niespokojnych warunkach, jak te, które panują w Mandżuko. Wybór ich padł na opjum. Jest to bowiem przedewszystkiem produkt „graniczny", to znaczy, że uprawiany bywa przeważnie na obszarach pogranicznych, gdzie warunki życia są w wysokim stopniu niepewne nawet w czasach najspokojniejszych. Fakt ten tłumaczy się tem, że hodowla opjum jest bardzo tania, przechowywanie zaś łatwe. Ponadto hodowla ta daje duże zyski, tak że mały zbiór opjum może pod tym względem zastąpić duże zbiory innych produktów.

WIELKIE POWODZENIE.

Władze japońskie wobec tego zaczęły zachęcać chłopów Mandżuko do uprawiania opjum w całym kraju i robiły usilne starania, ażeby powiększyć eksport tego cennego towaru Mandżuko do Chin.

Propaganda ta miała ogromne powodzenie. Pewien podróżnik, który niedawno ogłosił swoje wrażenia z podróży do Mandżuko, opowiada, że nigdy nie widział tak wielkich obszarów obsianych makiem opjumowym, i że w mieście Charbinie ilość spelunek opjumowych powiększyła się w sposób zastraszający. Ludność ogarnięta została szałem opjumowym.

Fakty te obudziły duże zainteresowanie za granicą. Ze wszystkich stron, nie wyłączając ludności japońskiej, zaczęły napływać do Rządu Japońskiego zapytania, dlaczego Rząd świadomie powiększa „niebezpieczeństwo opjumowe".

W ten sposób przed władzami japońskiemi stanął dylemat. Chciały one w dalszym ciągu wyciągać pieniądze z uprawy opjum, lecz jednocześnie zmuszone były uczynić cośkolwiek w odpowiedzi na krytykę i protesty.

JESZCZE 50 LAT.

Wtedy właśnie powstała myśl o planie 50-letnim. Oświadczyły, że, oczywiście, są zdecydowane poczynić odpowiednie zarządzenia w celu ukrócenia handlu opjum. W ciągu 50-ciu lat — jak Rząd z dumą zapewnia — spodziewa się on wykorzenić nałóg opjumowy w Mandżuko.

Głównym punktem planu jest zakładanie specjalnych lecznic dla palaczy opjum, gdzie mogliby poddawać się kuracji. Według wiadomości urzędowych nie mniej, niż 2.000 pacjentów będzie mogło miesięcznie otrzymywać pomoc lekarską w tych zakładach.

Dzięki temu planowi, jak zapewniają, Rząd ma nadzieję uwolnić kraj od tej plagi, która grozi ludności Mandżuko szybkiem zwyrodnieniem.

W ten sposób usuwa się podstawę krytyce, i podczas gdy władze łaskawie zabierają się do leczenia 2.000 osób miesięcznie, mogą one już śmiało i bez przeszkód szerzyć propagandę uprawy opjum na obszarach jaknajwiększych.

„The Clarion", Londyn.

Nowi biedacy

Są tacy, którzy lubią skarżyć się na koszt administracji Ligi Narodów. Ostatnie wiadomości z Genewy dowodzą, że niektórzy delegaci, udający się do tego miasta wprowadzają poważne oszczędności. Przytaczają jako przykład przygody przedstawicieli jednego z mniejszych państw europejskich, którzy przybyli na konferencję rozbrojeniową:

Zaczęli od pobierania 100 franków szwajcarskich dziennie i zatrzymali się w najlepszym hotelu w Genewie. Po upływie pierwszego miesiąca obcięto im pensje do połowy i delegacja przeniosła się do drugorzędnego hotelu, gdzie całkowite utrzymanie wynosiło około 20 fr. dziennie.

Po upływie drugiego miesiąca, kiedy nie było widoków na koniec konferencji, nastąpiła dalsza redukcja pensyj i delegacja przeprowadziła się do skromnego pensjonatu po 10 franków dziennie.

Nie stwierdzono jeszcze, czy później — spali na ławkach w parku, po oficjalnem powitaniu w najbliższym przytułku Armji Zbawienia.

„Manchester Guardian", Manchester.

Prezydent Roosevelt widziany oczyma swojej sekretarki



Kiedy tylko nadarza się po temu sposobność, Prezydent i pani Roosevelt wyrywają się z Waszyngtonu na przejażdżkę po Potomaku na pokładzie jachtu Sequoia. Podczas tych week-endów towarzyszy im zazwyczaj niewielka ilość osób. Zasadniczo jedynym gościem, poza dwiema czy trzema przyjaciółkami pani Roosevelt, jest panna Małgorzata Le Hand, prywatna sekretarka Prezydenta.

Miss Le Hand nie wyjeżdża jednakowoż wyłącznie w charakterze gościa. Na wycieczkach takich wykonywa się ogromną pracę; pewny, że mu nie przeszkodzą, może Prezydent przejrzeć całą masę korespondencji, na którą nie ma w Waszyngtonie czasu. Może układać orędzia do Kongresu czy memorjały, nie myśląc ani na chwilę o tych, którzy czekają na niego. Czasem też, kiedy pani Roosevelt pragnie przygotować jakieś przemówienie, a Miss Le Hand nie jest Prezydentowi potrzebna, sekretarka Prezydenta notuje je szybko.

Mimo, że podczas tych wycieczek załatwia się wiele spraw państwowych, nastrój nie jest oficjalny. Rooseveltowie wogóle nie są oficjalni i nawet w Białym Domu starają się utrzymać nastrój bardziej ludzki.

NIEMA OFICJALNEJ NAPUSZONOŚCI.

Zaznacza się to najwyraźniej w biurze Prezydenta, gdzie, między jego gabinetem, a salą posiedzeń ministrów, pracuje Miss Le Hand.

W pokoju nie unosi się atmosfera oficjalności, a jeszcze mniej oficjalna jest osoba, która tu pracuje. Ani ważna praca, która się tu dokonywa, ani poufne wiadomości, które tutaj się przepisuje, nie rzucają cienia sztywności na wysoką, wiotką, przedwcześnie osiwiałą kobietę o młodej twarzy, ani na pokój, w którym pracuje.

Dźwięk dzwonka, przywołujący pannę Le Hand do Prezydenta, nie budzi w niej uczucia przestrachu. Prezydent wzywa ją spowodu jakiegoś ważnego dokumentu państwowego, czy też chce mówić przez telefon z jednym z senatorów, podyktować jakieś zlecenie, które następnego dnia stanie się artykułem wstępnym wszystkich gazet w całym kraju. Do sprawy podchodzi sekretarka bez widocznego wysiłku. Biurokratyzm nie oplątał czerwoną nicią małego pokoju, a powaga pracy nie usunęła zeń pogody. Znajdzie się czas na śmiech, jest czas na żarty. Za oknami rosną zielone drzewa; słońce zagląda przez wielkie okno; po trawniku skacze bulldog, pies osobistego detektywa Prezydenta, a cały pokój przeniknięty jest ożywczem, świeżem powietrzem.

Pokój urządzony jest z prostotą. Nie znać na nim „ręki kobiecej". Fotografje Prezydenta i pani Roosevelt, składany stół, kilka krzeseł zawalonych papierami i biurko w jednym z kątów stanowią całe jego umeblowanie. Za biurkiem siedzi Miss Le Hand.

OBOWIĄZKI SEKRETARKI.

Miss Le Hand była zdziwiona, że chcę o niej pisać. Wzniósłszy wgórę brwi i odsunąwszy plikę papierów, zaczęła mówić o obowiązkach sekretarki osobistej.

„Niech mi pan pozwoli zastanowić się chwilę, — powiedziała. — Uważam, że pierwszym obowiązkiem jest umieć milczeć. Sekretarka osobista powinna przedewszystkiem poznać dokładnie swego pracodawcę. Kiedy objęłam posadę u p. Roosevelta, przez całe miesiące uważnie czytałam listy, które mi dyktował. Zapoznałam się szczegółowo z jego sposobem wysławiania się, nauczyłam się, które listy należało mu pokazywać, a które mogłam załatwiać sama. Szybko spostrzegłam, że wygląd listu nie przesądzał w jakim stopniu Prezydent się nim zainteresuje. Często więcej czasu poświęca odpowiedzi na list, pisany ołówkiem na linjowanym papierze niż maszynopisowi na litografowanej papeterji.

„Obowiązkiem sekretarki osobistej jest usuwanie jaknajwiększej ilości ciężarów z ramion szefa. Z biegiem czasu, kiedy Prezydent spostrzegł, że poznałam dokładnie jego sposób odpowiadania na niektóre listy, zamiast dyktować mi odpowiedź, mówił mi tylko „tak" lub „nie", ja zaś domyślałam się, co i jak odpisywać.

„Każdy z nas ma swoje dziwactwa. Pan Prezydent jest jednym z najmilszych i najbardziej wyrozumiałych ludzi, z jakimi miałam okazję pracować. Znam go jednak dość dobrze, żeby pewnych spraw nie przedkładać mu wtedy, gdy zajęty jest innemi rzeczami. Są ludzie, których nudzą szczegóły; nie chcą, żeby ich w nie wtajemniczać. Inni znów nienawidzą pisania, nawet i ważnych listów. Istnieją także ludzie, którzy odpisują na listy tak starannie, jakgdyby pisali książki. Zadaniem sekretarki jest zrozumieć swego pracodawcę.

„Oczywiście, kiedy mężczyzna obejmuje jakieś stanowisko społeczne, między nim a światem zewnętrznym musi stanąć jakaś barjera; nawet ludzie interesu nie przyjmują wszystkich, którzy do nich przychodzą. Rzeczą sekretarki jest określenie ważności wizyty. Musi umieć nie wpuszczać do szefa, nikogo nie obrażając. Ale, chcąc oszczędzić czasu swemu pracodawcy, nie musi zaraz przybierać postawy dozorcy. Musi być jednem słowem sprawna, nie będąc sztywna".

* * *

Zadałem pannie Le Hand pytanie, czy miała jakieś specjalne przygotowanie do swojej obecnej posady. Odpowiedziała: „Tylko okres czternastoletniej współpracy z panem Rooseveltem. Toby wystarczyło, jako przygotowanie, każdemu".

Pracując wiele lat temu w departamencie żeglugi, Miss Le Hand poznała Charles'a McCarthy, przyjaciela pana Roosevelta. W r. 1920 przestała pracować w tej instytucji, a w tym samym czasie Roosevelt kandydował na stanowisko vice-prezydenta. Jeździł bezustannie po kraju, a cały sztab stenografów i maszynistek załatwiał jego olbrzymią korespondencję. W ich liczbie była Miss Le Hand, polecona przez Mr. Mc Carthy.

„Kiedy kampanja wyborcza skończyła się, ciągnie Miss Le Hand, p. Roosevelt posłał po mnie i zapytał, czy nie chciałabym zostać jego sekretarką osobistą. Wiedziałam, że jest prawnikiem, a najbardziej ze wszystkich rzeczy nienawidzę prawa, bo jest dla mnie suche i martwe. Powiedziałam p. Rooseveltowi co o prawie myślę i że postanowiłam nie pracować u prawnika. Zapewnił mnie, że ma sporo innych spraw poza prawem i że prawu poświęca stosunkowo niewiele czasu.

„Nie chcę, żeby miał pan o mnie złe wyobrażenie i nie mówię Panu tego dla przykładu, jak należy postępować. Byłam bardzo niezależna, zbyt niezależna, i gdyby nie to, że miałam trochę szczęścia, straciłabym posadę w dep. żeglugi i p. Roosevelt nigdyby się mną nie zajął. Jedynem mojem usprawiedliwieniem, że tak postąpiłam wtedy, jest fakt, że byłam młoda. Teraz już nie mam tej wady".

Miss Le Hand pracowała u p. Roosevelta, kiedy zachorował. Kiedy był bliski wyzdrowienia, przychodziła do niego i pracowała dla niego, a czasem i dla pani Roosevelt.

* * *

Kiedy Prezydent wprowadził się do Białego Domu, Miss Le Hand została przyjęta do rodzinnego grona i teraz „Missy", jak ją nazywają, asystuje podczas oficjalnych obiadów i przyjęć.

„Soboty i niedziele, mówi Miss Le Hand, przeznaczone są zawsze na odrobienie ogromu pracy, ponieważ wtedy, nawet gdy Prezydent zostaje w Waszyngtonie, niema takiej masy wizyt, jak w tygodniu.

OLBRZYMIA KORESPONDENCJA OSOBISTA.

„Wtedy właśnie zajmujemy się korespondencją i innemi sprawami, które Prezydent chce osobiście załatwić. Domyśla się pan oczywiście, że poczta Prezydenta jest olbrzymia i sądzę, że żaden z prezydentów takiej nie otrzymywał. Jeszcze zanim Prezydent przybył do Białego Domu, prowadził wielką korespondencję. Zawsze lubił mieć kontakt z dużą ilością ludzi. Przez wiele lat wyłącznie przez korespondencję dowiadywał się, co myślą ludzie w rozmaitych częściach kraju.

„Listy jego do tych osób były rzeczywiście listami, a nie odpowiedzią na pytania. Do dziś dnia stara się odpowiadać w tej samej formie. Najważniejsze sprawy państwowe nie mogą powstrzymać prezydenta od traktowania każdego człowieka w sposób indywidualny.

„Dyktuje bardzo szybko i rzadko żąda, żebym powtarzała to co powiedział, czyta natomiast każdy list, który podpisuje. Wiele ze swoich mów pisze odręcznie i należy się dziwić, jak mało w nich robi poprawek. Często mu radzono, aby ze względu na wielką ilość listów, które musi podpisywać, przyjął sekretarza, któryby umiał naśladować jego podpis. Wiele osób, tak robi, ale Prezydent nigdy. Ponieważ sam zbiera autografy, nie chce wprowadzać w błąd innych kolekcjonerów.

„Wie Pan zapewne o jego innych kolekcjach, o znaczkach, książkach, rycinach i modelach okrętów. Te zainteresowania pozwalają mu wytrzymać wielki nawał pracy. Ma szczęśliwą naturę i umie zapomnieć o kłopotach, aby poświęcić się którejś ze swoich manji.

„Prezydent nie zmienił się ani trochę od czasu objęcia władzy. Nie przybiera pozy sztucznego dostojeństwa i brzydzi się nadal przesadą. Jest zawsze w dobrym humorze, nigdy nie traci równowagi; rozumie, że wszyscy jesteśmy ludźmi i że każdemu z nas mogą się zdarzyć pomyłki.

„Około piątej po południu, kiedy to tylko jest możliwe, wszyscy sekretarze zbierają się w jego pokoju. Czas ten nazywa „godziną dzieci". Często podziwiam go wtedy, zwłaszcza po szczególnie ciężkim dniu. I wtedy nawet jest wesoły i pogodny, jak gdyby nie miał najmniejszych kłopotów".

„The New-York Times Magazine", Nowy-Jork.

Hańba Insull'a, to hańba Ameryki

— Czyście widzieli w pismach tę straszliwą fotografję Insull'a nawprost drzwi więziennych? Było to podłe i okrutne — podłe, bo publiczność mogła gapić się na mękę, malującą się na twarzy starca. Nie cała wina spada na Insull'a. My — którzy gapimy się na jego upadek, jesteśmy w pewnej mierze wspólnikami jego winy.

Za przestępstwa natury społecznej, wtrącono Sam'a Insull'a do więzienia i zabrano mu 200.000 dolarów w obligacjach. Ponosimy tu wszyscy winę. Każdy z nas wiedział, co Sam Insull i jemu podobni robili przed dziesięciu laty. Każdy podejrzewał możliwości strat wskutek oszustw, jakie wisiały nad głowami dziesiątków tysięcy tych, którzy lokowali swe kapitały nietylko w przedsiębiorstwach Sama Insull'a, ale w dziesiątkach innych spółek tego rodzaju. I on i jemu podobni byli żądni zysku, sądzili jednak, że są chciwi w granicach dozwolonych przez prawo.

Byli potężni, sądzili, że będą mieli dość siły, by dotrzymać swych obietnic. Byli oszustami tylko dlatego, że myśmy byli niedościwiałymi czeni jak niemowlęta, a myśmy byli niemowlętami tylko dlatego, że prawa nasze pobłażały oszustom, którzy naciągali niemowlęta

Dziesięć lat temu rozumni ludzie całego świata wskazywali na niebezpieczeństwa gry Insull'a. Dziś żądają oni, żeby położyć kres potężnej oszukańczej grze Insull'a, nazwawszy ją przestępstwem. Przed dziesięciu laty, ci sami ludzie, żądając tego samego, spotkali się z drwinami.

— Chcecie kulawych interesów? — wołali oszuści, ich wspólnicy i ich sympatycy. Dziś powiadają to samo. Jeśli jednak nie „okulawimy" tego rodzaju interesów, w jakich zatrudnieni są Insullowie, — oni i im podobni będą ciągle porastali w pierze a oszustwo pochłonie grosz wdowi i wydrze ostatni kęs chleba z ust sierocych.

Wszystko, co możemy uczynić, to — wsadzić następnego oszusta do więzienia, jeśli zrujnował swych bliźnich. My, naród Stanów Zjednoczonych, którzy przespaliśmy nasze prawa, którzy biliśmy pokłony Insullowi i jego złotemu cielcowi — powinniśmy znaleźć się w więzieniu wraz z tym złamanym starcem. Starzec ten myślał, że jest uczciwy, ponieważ chciwość jego nie znała takiego prawa, do którego złamania nie zachęciłoby go jego poczucie siły.

Hańba Insull'a — to hańba Ameryki.

„Emporia Gasette" Emporia U.S.A.

Al Capone, rywal Othella

Al Capone, „postrach Chicago" od pewnego czasu przebywa w więzieniu i ma nikłą nadzieję na szybkie odzyskanie wolności. Przysłowiowe są nienawiść i okrucieństwo, z jakiem ścigał swych przeciwników. W żyłach jego płynie gorąca krew neapolitańska. Al Capone przeklina sędziów, obiecuje krwawą zemstę świadkom, którzy złożyli obciążające go zeznania, ale przedewszystkiem grozi swojej żonie, która została na wolności i na temat wierności której ma pewne wątpliwości, mimo, że zrobił wszystko, aby zaoszczędzić sobie przykrych niespodzianek. Pani Al Capone bowiem także jest uwięziona, ale w pięknej willi.

Al Capone poszedł za przykładem średniowiecznych baronów. Zrezygnował wprawdzie z prymitywnych instrumentów, które wtedy służyły jako zabezpieczenie przed niewiernością żon, a które teraz można oglądać w muzeach, ale zato orzekł, że żona będzie przebywała w zamknięciu tak długo, jak on, a straż, uzbrojona po czubki włosów, czuwa nad wypełnieniem jego rozkazu.

Pani Capone może opuszczać mieszkanie tylko w opancerzonym samochodzie, a właściwie w tanku, w którym jej mąż dokonywał podróży inspekcyjnych. Auto otoczone jest ponadto strażą.

Jeżeli jednak znajdzie się pośród gwardji nowoczesnego Othella jakiś Jago, który mu wsączy jad zwątpienia, biada nowej Desdemonie!

„Vendémiaire", Paryż.

WIELKI SEZON PARYSKI

My, którzyśmy przeżyli niespokojną zimę, ze zmianami rządu i rozruchami ulicznemi, z jej dzikiemi pogłoskami i plotkami o rewolucji i dyktaturze, z trudem możemy przyzwyczaić się do faktu, że Paryż jest „znów normalny". Może ci, którzy wiele gazet czytają i mówią o polityce od rana do wieczora, znajdują jeszcze większą trudność w wyobrażeniu sobie że Paryż może interesować się czemś pozą polityką.

W trzy tygodnie po 6-ym lutego, zanim nastroje w Paryżu uspokoiły się, przechodziłem pewnej nocy przez Place de l'Opera i ujrzałem setki ludzi, czekających przed gmachem dział wojnę smokingowi, twierdząc, że „przyzwoici ludzie muszą być we fraku przy obiedzie". Nie można się pozbyć wrażenia, że ich teorje gospodarcze są podobne do teoryj tego młodego markiza z osiemnastego wieku, który, kiedy mu doniesiono, że grozi klęska głodowa, zauważył, że jeżeli zabraknie chleba, ludzie będą przecież mogli jeść ciastka.

Tu ludzie uchwalają ustawy frakowe, kiedy Hitler, dosłownie, zagraża, kiedy młoda Francja przechodzi okres burzliwych fermentów umysłowych, kiedy ligi faszystowskie i rojalistyczne wzrastają liczbowo z dnia na dzień



Opery. Przez długie dni Plac Opery był ośrodkiem wszystkich zaburzeń ulicznych i pierwszą moją myślą było „Oto nowa ruchawka!"

W rzeczywistości zaś, ludzie przed operą zgromadzili się tylko po to, aby widzieć przybycie prezydenta Lebrun'a i p. Doumergue'a na Bal des petits lits (wielka impreza dobroczynna sezonu) i obejrzeć modne toalety „najlepszego towarzystwa", które w takich imprezach bierze udział. Wydawało mi się niewiarygodne, by w czasie, kiedy kłótnie o wypadki z 6-ego lutego były nieomal tak gwałtowne, jak same wypadki, kiedy Stawiski wciąż zapełniał pięć szpalt przeciętnej gazety, a trzecia Republika zdawała się być u schyłku swego istnienia, znaleźli się jeszcze ludzie, których mogły zainteresować toalety wieczorowe i bale na cele dobroczynne z ich wyszukanie wykwintnemi programami.

I nawet dziś, kiedy już zaczyna brakować cierpliwości na czytanie sprawozdań komisji śledczej dla afery Stawiskiego i kiedy wszystko już ostatecznie powraca do normy, nawet dziś jesteśmy skłonni potępić lekkomyślność tych ludzi, którzy podniecają się Puharem Davisa i Grandes Fêtes de Paris, między 16 czerwca a 8 lipca; i nie możemy uwolnić się od drwin pod adresem tego komitetu arystokratów francuskich, który w imię handlu przedmiotami zbytku i odbudowy ekonomicznej wypowie-



i dysponują już 80.000 młodych ludzi, gotowych w każdej chwili do marszu na Izbę Deputowanych, i kiedy Marcel Déat przepowiada zmianę regime'u na 8 lipca; co za wspaniały punkt kulminacyjny dla Grandes Fêtes de Paris!

Tego dnia młode pokolenie wyrwie cugle władzy z drżących rąk starych dziadów

Wiele ważnych zdarzeń zaszło we Francji, powiada p. Déat. Zdobycie Bastylji nastąpiło w lipcu; to samo można powiedzieć o „trois glorieuses" o trzech sławnych dniach romantycznej rewolucji z 1830 r., które wyniosły na tron najmniej romantycznego z czterdziestu królów Francji, Ludwika Filipa, pana z parasolem.

Ale ani w 1789, ani w 1830 nie było pociągów, ani tanich wycieczek, ani autobusów. Dziś, mówią nam, niema się co martwić o lipiec; albowiem po Grandes Fêtes de Paris każdy będzie zajęty pakowaniem kufrów do podróży nad morze, albo w góry, albo do wiejskiej posiadłości wuja w Aube czy też Aude. Być może.

W każdym razie jeżeli mamy zajmować się sprawami konkretnemi, a nie możliwościami, wielkiem wydarzeniem najbliższej przyszłości będzie Semaine de Paris. Les Grandes Fêtes de Paris, które potrwają nie jeden, a trzy tygodnie. Na Sekwanie, która już na zawsze straciła swoje małe parostatki, owe „Bateaux mouche", tak miłe dla Maupassant'a i Flauberta, obiecują nam wyścigi wioślarskie; zapowiada się wyścigi konne w Longchamp, i mecz bokserski między Marcelem Thil'em a Lenem Harvey'em; obiecują nam dalej koncerty francuskich i zagranicznych orkiestr wojskowych w Ogrodach Tuillerie, odbędą się wielkie zabawy i liczne „fêtes de l'elegance"; oprócz tego przewidziany jest festiwal Ravel'a w Operze i galowe przedstawienie Korjolana w Academie Française — tego samego Korjolana, który sprawił tyle kłopotów policji ostatnio w lutym, kiedy tłumy młodzieży z Action Française bez przerwy oklaskiwały Szekspira, jako przeciwnika Chautemps'a.

Ma również odbyć się otwarcie Wystawy Stulecia Lafayette, i wystawa która pomoże zwiedzającym amerykanom zapomnieć przemówienie radjowe P. Barthou, które nigdy do Ameryki nie doszło, (zamiast usłyszeć przemówienie p. Barthou z gabinetu przy Quai D'Orsay radjosłuchacze amerykańscy słyszeli idjotyczny głos „Czy nie chcesz mnie pocałować kochanie?" Radjosłuchacze wciąż szukają tego dowcipnisia, z zamiarem usmażenia go żywcem) dalej zapowiedziane jest odnowienie Rip Revue w Teatrze Michel, która zawiera tyle doskonałych dowcipów na temat Stawiskiady i deputowanych; Szaliapin będzie śpiewał.

Nie braknie też wystaw sztuki; Męka Pańska i Ukrzyżowanie w Sztuce francuskiej; malarze francuscy we Włoszech w Pavillon Marsan. Niezliczone Salons i pomniejsze wystawy będą stale otwarte, będzie nawet specjalna wystawa z okazji stulecia Jacquard'a, człowieka, który wynalazł warsztat tkacki, przez co ocalił przemysł jedwabniczy Lyonu. Na cześć jego wydano nawet znaczek pocztowy za 40 centime'ów; jest to pierwszy ryty (i bardzo dobrze ryty) znaczek pocztowy o niskiej cenie we Francji.

W ten sposób znajdzie się coś dla wszystkich gustów i upodobań podczas Grande Semaine; o zniżkach kolejowych i ulgowych paszportach pomyślano również zawczasu.

„The Manchester Guardian", Manchester.

PANI NA PLAŻY

Shorts

Jeżeli spędza pani lato na plaży, niezbędnym strojem jest shorts, składające się ze spodenków i bluzki z kraciastej, cieniutkiej tkaniny bawełnianej. Kolory tego lata — nowość w modzie plażowej — są w tonach ciemniejszych: ciemno czerwony, żółty, oliwkowy. Ten sam model shorts może być wykonany z cienkiej wełnianej tafty.

„Vogue", Paryż.

W żargonie mody roi się od słów, które, w zależności od tego, czy stosowane są przez panie, czy przez panów, znaczą coś zgoła odmiennego. Mimo całego bogactwa słownika kobiety raz po raz zmuszone są sięgać do skromniejszego słownika Pana i słowo raz zaadoptowane, przekształca się i rozszerza na wiele różnych dziedzin. Od zeszłego roku na plażę i do sportów nosi się spodenki, zwane „shorts", które początkowo określały każdą widoczną i niewidoczną część męskiej garderoby, sięgającą kolan.

Panie nie są tak ściśle w definicjach. Shorts bywają rozmaitej długości, od takich, które sięgają do połowy łydki począwszy, a kończąc na króciutkich, sięgających połowy uda. Praktyczność shorts jest niezaprzeczona. Pyjama miała tę wadę, że spodnie jej przy każdym powiewie wiatru oplątywały nogi, uniemożliwiając chodzenie. Była idealna na plaży, ale niebardzo wygodna w chodzeniu. Shorts natomiast, są ulubieńcem młodych kobiet. Można w nich biegać, skakać, wdrapywać się na wzgórza, a ponieważ górna część ich składa się z prawdziwej bluzki, można do nich przypinać każdą spódnicę, wełnianą czy płócienną kiedy schodzi się z plaży i podąża do bardziej praktycznych zajęć.

Shorts mogą być dłuższe i krótsze, szerokie i bardzo przylegające, zawsze jednak *muszą* być jednokolorowe. Jeżeli komuś bardziej do twarzy w deseniowych strojach, musi zadowolnić się suknią plażową, cudownie kolorową. Suknia taka nierzadko przypomina prawdziwą, tyle tylko, że jest bardziej wycięta i składa się zawsze z bluzki o malutkich rękawkach i przypinanej spódnicy.

„Die Dame", Berlin.

Trykot na kostjumy kąpielowe

Kostjumy kąpielowe tegoroczne przyniosły przewrót w dziedzinie mody. Skończył się nazawsze fabryczny trykot, który złośliwie wyciąga się albo kurczy. Praktyczne i eleganckie są jedynie kostjumy kąpielowe z włóczki, robione na drutach, w których deseniu wypowiada się fantazja pani.

Ulubione kolory, to granatowy, ciemno szary, pewne odcienie bronzowego, pewien odcień ocre, przypominający opalone ciało. Największem powodzeniem jednak cieszy się biały trykot, w ręcznem wykonaniu zupełnie „przyzwoity", bo nie przemakający.

Te kostjumy kąpielowe nowego typu, doskonale oblegają figurę, nie podkreślając zbytnio tego, co wiele pań wolałoby wstydliwie ukryć. Nosi się do nich luźne płaszczyki, także robione na drutach, ale w kontrastujących kolorach.

„Femina", Paryż.

NA NOGACH NOSI SIĘ NA PLAŻĘ:

...Pantofle i sandały z lnu, z trykotu, z gumy, z kolorowej skóry pociętej na paski.

PRZERZUCONE PRZEZ RAMIĘ:

...duże torby, sharmonizowane w kolorze z resztą kostjumu; wąziutki materacyk, bardzo lekki, na którym leży się przez całe godziny, wystawiając ciało na działanie cudownego słońca.

„Candide", Paryż.



ODRODZENIE „SEZONU" W LONDYNIE

Sezon londyński osiągnął największe znaczenie i szczyt swój w roku 1897, kiedy bal kostjumowy w Devonshire House zaszczycony był obecnością członków rodziny królewskiej, pięknych kobiet i sławnych mężczyzn. Za panowania króla Edwarda VII nastąpiła pewna niwelacja społeczna, a stosunki powojenne (wraz z apoteozą wielkich interesów i zubożeniem arystokracji) zmieniły społeczeństwo w porównaniu z Londynem sprzed lat czterdziestu. Potem nastąpiła depresja finansowa, będąca skutkiem kryzysu i przygasiła zupełnie świetną gościnność angielską.

W tym roku jednak zdaje się, że Londyn odrodził się do nowego życia; pieniędzy jest poddostatkiem, a żyłka rozrzutności działa niepowstrzymanie. Sklepy mają coraz ponętniejsze wystawy. Na turniej wojskowy tysiące ludzi nie dostało biletów, a miejsca na Trooping of the colour (rewja wojskowa) mogłyby być sprzedawane sześć razy drożej. Panie domu współzawodniczą ze sobą o dni, kiedy urządzać przyjęcia. Cena miejsc na trybunach nie odstrasza tych, którzy musieli zrezygnować z Ascot, a opera odzyskała w znacznej mierze dawną swą świetność.

Ale, tak samo jak niema wielkich „otwartych" domów, niema w „towarzystwie" asów. Prosa królem czy królową nikt nie może dodać splendoru imprezie. Niema takiego wydarzenia, na któreby ze łzami w oczach błagano o zaproszenie. Królewskie przyjęcia nie są zwyczajem magnatów z r. 1934. Niema już obiadów przyrządzanych ręką najsławniejszego z mistrzów kuchennych. W domach prywatnych nie słyszy się już pierwszorzędnej muzyki. Wszystko jest bardziej ułatwione i bardziej swobodne, niemniej jednak równie zajmujące, jak dawniej.

„The Manchester Guardian", Manchester.

WIELKI MECZ BOKSERSKI

Inteligencja zwycięża brutalną siłę

Zwycięstwo swoje odniósł Maks Baer nie ostatnio w New-Yorku, ale już przed sześcioma miesiącami w Hollywood. Wtedy przystojny Maks i olbrzymi Włoch nakręcali w Kalifornji głośny film „Bokser i dama". Mojem zdaniem już wtedy podczas realizacji filmu został Baer, że się tak wyrażę, „mistrzem technicznym" świata, a ostatnie jego zwycięstwo było jakby tylko oficjalnem potwierdzeniem tego faktu wobec opinji publicznej i związków bokserskich.

Czy można popełnić większe głupstwo niż zrobił to menażer, byłego mistrza świata, pozwalając mu grać drugorzędną rolę wobec najgroźniejszego swego przeciwnika? Co więcej! Ośmieszać go w oczach publiczności, pozwalając mu tarzać się po ziemi, bo tego wymaga scenarjusz filmu.

Dla Baera była to jedyna okazja do poznania rywala, jego słabych stron, oraz taktyki którą należy z nim zastosować. Osiem dni trwało nakręcanie ich walki przed objektywem: to też spotykali się codzień na ringu. Rolę sędziego grał Jack Dempsey, menażer Baera. Amerykanin rozumiał, że teraz nadeszła okazja do zdobycia przewagi nad przeciwnikiem. Podczas pierwszego spotkania w studio, zamiast uścisnąć wyciągniętą przyjaźnie dłoń Carnery w obecności tłumu statystów, operatorów filmowych i reżyserów, chwycił go za włosy, niby to żartem, wołając „Hello — big gigolo!" Olbrzym stanął zdumiony. Dotychczas nikt jeszcze nie obszedł się tak lekceważąco z nim, siłaczem, mistrzem świata. Nie wiedział co odpowiedzieć. Tę pierwszą rundę wygrał Baer.

W czasie filmowania ich walki Maks dowcipkował i stale wydawał rozkazy na prawo i lewo. Grał przecież główną rolę. W chwili, kiedy leżał na ziemi, jak tego wymagał scenarjusz, posunął się tak dalece, że za objektywem aparatu kopnął włocha w nos, podczas, gdy Dempsey liczył z poważną miną sekundy... I tym razem Carnera stał zmieszany, bezradny.

W trakcie wymiany ciosów nie uszło uwagi kalifornijczyka, że Carnera ma skłonność do ustawiania się z boku, przeważnie od lewej ręki. I nie trzeba być dobrym matematykiem, by wiedzieć, że najkrótszą drogą łączącą dwa punkty jest linja prosta, a cios z prawej ręki wysłany w skroń z równej odległości, nie chybi celu. Co się zaś tyczy długości ramion, Baer nie ustępuje w niczem Carnerze. W ciągu trzech tygodni wspólnego pobytu w Hollywood zapraszano często obydwu bokserów na przyjęcia urządzane przez gwiazdy srebrnego ekranu. I na tem polu Baer wykazał całkowitą przewagę. Umiał być zawsze dowcipny, wesoły. podczas gdy Carnera, osadzony na miejscu przez nieznajomość języka, brak polotu stał zawsze na drugim planie.

Dzienniki doniosły, że w rozmowie z reporterami na temat przyszłego spotkania o tytuł mistrza świata Baer miał się wyrazić: — Carnera?

— Ach tak — ma pan na myśli mego partnera do... treningu?

Trenując, kilka dni przed meczem, powtarzał stale dziennikarzom: „położę go przez k. o. w piątej albo szóstej rundzie".

Jednem słowem robił wszystko, by utrzymać swego przeciwnika w stanie ustawicznej wściekłości i szału, bo wiedział, że to może tylko pogorszyć jego formę na ringu.

Stary ten trick nie mógłby zmylić nawet drugorzędnego menażera, cóż kiedy włoch nie miał przy sobie nikogo, ktoby potrafił mu pomóc lub poradzić. A trzeba wiedzieć, że potrafi on świetnie bić się, pokonać nawet najsilniejszego mocarza, ale tylko wtedy gdy ma dobrego przewodnika, który umie natchnąć go i odpowiednio pokierować w decydującym momencie. Doświadczony menażer byłby zrozumiał niebezpieczeństwo, kazałby Carnerze trzymać się postawy zasadniczej, wykorzystać swój błyskawiczny i potężny cios z lewej ręki, a z prawej bić tylko z dołu w podbródek, z lekkiem nachyleniem w stronę przeciwną, by uniknąć kontrataku. I byłby Carnera rozciągnął Baera jak Lughram'a, Sharkey'a i innych.

Tymczasem Baer dopiął swego. Doprowadził go do stanu takiej furji, że włoch bił się jak nowicjusz, zapominając w jednej chwili to, czego się kiedyś nauczył.



Baer i Carnera.

W Hollywood zapłacono Carnerze za udział w filmie o wiele więcej, niż jego rywalowi. Ten ostatni był jednak zadowolony i zwierzał się przed znajomymi:

„Nie zamieniłbym się z Primo Carnerą. Tych kilka tysięcy dolarów nic nie znaczą. Wartość ma tylko to, że wiem jak należy z nim walczyć, podczas gdy on o mnie nie wie nic. Ten film przyniesie mi tytuł mistrza świata".

Tak się też stało.

Leon Sée,
„Marianne", Paryż.

Maks Baer zawdzięcza swą karjerę kobiecie

Wszyscy amatorzy sportu interesują się obecnie Maksem Baerem, zwycięzcą „niezwyciężonego" olbrzyma, włocha Carnera. Szczególnie interesuje się nim Ameryka, która wyhodowała tego „amerykanina", pochodzącego z żydowskiej rodziny emigrantów z Alzacji. Obchodzi ją wszystko, co się tyczy Maksa Baera — czyli „Maxie" — jak go nazywają przyjaciele a, przedewszystkiem, przyjaciółki...

Światek music hall'ów, teatrów rewjowych, kin i t. d. zna Baera lepiej, niż sfery czysto bokserskie. Jest on doskonałym tancerzem, świetnym aktorem i niezmiernie muzykalnym człowiekiem. Znacznie częściej występował w teatrze, niż na „ring'u" i czarował publiczność nietylko aureolą swej sławy boksera, ale swym prawdziwym talentem aktorskim.

Nazywają Maksa Baera „ulubieńcem kobiet". Wszędzie bowiem okrążają go kobiety.

Choć wyda się to może dziwne, ale faktem jest, że swą karjerę bokserską zaczął właśnie dzięki kobiecie.

Pewnej nocy, Baer wyszedłszy z baru w towarzystwie damy — tym razem tylko *jednej* damy — natknął się na jakiegoś człowieka, który bezczelnie wpatrywał się w jego towarzyszkę. Obrażona dama miała żal do Baera, że nie działa w jej obronie.

— Cóż mam pani zdaniem robić? — zdziwił się Baer.

— Powinien pan dać do zrozumienia temu łajdakowi, żeby nie śmiał obrażać kobiety!

KNOCK OUT W OBRONIE KOBIETY

Baer namyślał się przez chwilę... zamierzył się i jednym ciosem zbił z nóg bezczelnego gapia. Był to pierwszy knock-out Maks'a; natchnął go do nauki boksu i zaprowadził na „ring".

Pierwsze jego jednak spotkanie z Carnerą odbyło się nie na ringu, lecz w studio filmowem. Zawód aktorski kosztował Baera sporo pieniędzy. Zanim jeszcze zdążył zapłacić ogromną sumę porzuconej przez siebie piękności amerykańskiej Oliwji Beck, zaczął zalecać się do „najpiękniejszej kobiety Broadway'u" June Knight. Oderwał go od ukochanej mecz z Paolino, na którym poznał inną piękność Dorothy Denbar. Przyciągł jej właśnie dozgonną miłość — gdy zdarzył się mecz z Schmellingiem. Końcowy knock-out, który pozbawił Schmellinga przytomności, sprawił takie wrażenie na June Knight, że pogodziła się z Baerem natychmiast po meczu.

Rozumie się że na te procesy, romanse i zaloty potrzebne są pieniądze. „Maxie" należy do tego typu ludzi, którzy zarabiają 100 000 dolarów rocznie, a wydają conajmniej 125.000.

Bywanie w wielkim świecie, uczęszczanie do restauracyj i barów kosztuje go masę pieniędzy, tembardziej, że nie odmawia niczego ani sobie, ani swym towarzyszkom. Coprawda boks przynosi mu piękny dochód: mecz Baer — Carnera dał 428.240 dolarów, z czego Baer dostał tylko 45.170 dolarów, pobity zaś na głowę Carnera przy pomocy 135.510 dolarów wyleczył otrzymane „rany", zadane również i jego miłości własnej.

Baer trenował zawsze na wesoło: w sali sportowej, gdzie szykował się do meczu, wiecznie było pełno jego przyjaciół, przyjaciółek, wielbicielek i t. d.

Nie poprzestając na pisemnych pogróżkach, Baer obiecywał wszem wobec i każdemu zosobna, że rozbije Carnerę na drobny mak i zapewniał, że zwycięży go jeśli nawet zjawi się na ringu „z kobietą w każdej ręce". Zresztą kobiety w rękach Baera są tak codziennym balastem, że nie przedstawiałoby to sobą nic szczególnego...

Już na ringu zachowywał się nie lepiej: zerkał na znajomych, podśpiewywał sobie, podtańcowywał, a nawet... wysuwał język w stronę swego przeciwnika...

Ale pokonany Primo Carnera nie traci jeszcze nadziei na odzyskanie laurów. Podtrzymuje go w tem Emilja Tersini, ta sama Emilja Tersini, (kelnerka z włoskiej restauracji w Londynie), której w swoim czasie sąd przyznał 4.500 funtów płatnych przez Carnerę za niedotrzymanie obietnicy małżeństwa.

Jak wiadomo, we wrześniu ma nastąpić drugie jego spotkanie z Baerem.

„Sjewodnia", Ryga

Kwaśna mina niemiecka

W Nowym Jorku zdarzyła się niedawno największa sensacja bokserska ostatnich lat. Już raz Kalifornijczyk Maks Baer sprawił fachowcom niespodziankę, załatwiając się krótko i węzłowato ze Schmellingiem. Wtedy nikt nie postawiłby na niego złamanego szeląga. Tym razem było tak samo. Teoretycznie Baer nie miał nic, na co mógłby liczyć w tym meczu z olbrzymem włoskim. Jednak myliliśmy się wszyscy. Baer został mistrzem świata. Rozgrywka była najzupełniej prawidłowo przeprowadzona.

Pewien berliński fachowiec nazwał nowego mistrza największym „bluffer'em" jaki kiedykolwiek stanął na ringu. Jest to najdosadniejsze określenie. Technicznie Baer nic nie umie, ale za to potrafi on walić klinem i jeszcze raz walić i to jest źródło jego największych sukcesów.

Dla nas w Niemczech wynik mistrzostw świata bynajmniej nie jest obojętny. Przeciwko Carnerze mistrz techniki Neusel nie miał żadnych szans, przeciwko Baerowi widoki są i to niemałe. Oprócz tego przejście tytułu mistrza świata na boksera normalnej ciężkiej wagi, powinno i z punktu widzenia czysto sportowego zasadniczo być życzliwie przyjęte albowiem mimo że Carnera żyje sportowo i bierze swój zawód poważnie, pozostaje jednak po wszystkich jego zwycięstwach jakiś gorzki posmak.

„Voelkischer Beobachter", Berlin.

UBRANIA Z GUMY I SUKNIE ZE SZKŁA

Udoskonalenie „przędzy gumowej" wywoła prawdopodobnie taką samą rewolucję w przemyśle włókienniczym, jak niegdyś wynalazek sztucznego jedwabiu.

Zwykłe materjały mają tę wadę, że brak im elastyczności. Nie można ich wyciągać, nie gniotąc jednocześnie. Są niebardzo trwałe na łokciach i kolanach. Materjał przeciera się szybko, wyciąga się i kuli w nieodpowiednich miejscach. Jest to już tkanina „martwa".

Z tego też względu trwają bezustanne poszukiwania „żywej" przędzy, tak aby tkanina naginała się do ruchów człowieka, nie tracąc fasonu. Przędza gumowa składa się z cieniutkiego włókna gumy, prawie niedostrzegalnie cienkiego, wokół którego okręcona jest spiralnie — jak owijacz na nodze żołnierza, — nitka jedwabiu, bawełny, czy wełny. Nowa nić ma grubość bawełny do szycia.

Powstają z tej materji kapelusze, które nigdy nie zrobią się ciasne, pullowery i swetry, które się nigdy nie wyciągną, krawaty nie gniotące się, idealnie leżące kołnierze i rękawiczki.

Przędzone szkło używane jest znowu na materjały innego rodzaju. Niedawno suknia balowa ze szkła wprawiła w zdumienie angielskich rysowników modeli.

Szklany materjał ma wiele zalet. Cieniutka nitka szklana, o grubości jednej tysiącznej cala, powstaje naskutek przepuszczenia topionego szkła przez maleńkie otwory w ściance pieca i, dzięki swej giętkości nadaje się do wyrobu materjału, zawierającego tysiące przepuszczalnych powietrze por. Materjał taki jest wyjątkowo praktyczny na upały. Jest mocny, nie pali się i nie płowieje. Plamy zmywają się z niego łatwo i nie kurczy się w praniu.

W Sheffield inżynierowie pracują nad aparatem rozpylającym topione metale. Dzięki niemu, każdy wyrób będzie mógł być pokryty cieniutką warstwą błyszczącego bronzu czy miedzi, srebra czy nawet złota.

Krawcy amerykańscy robią już teraz ubrania męskie z papieru. Kryzys przypomniał o wynalazku, stosowanym w Niemczech podczas wojny. Chemicznie przygotowany i stwardniały papier używany jest na ubrania, kapelusze i buty. Mówią, że nosi się zupełnie nieźle, a przedewszystkiem jest... tani.

„The Daily Mail", Londyn.



CURZIO MALAPARTE

CÓRKA PASTORA Z BÖRN

Po śmierci mojej matki wielka cisza lasów norlandzkich owładnęła naszym domem w Börn. Nikt nigdy do nas nie przychodził; nikt nigdy, po wyjściu z kościoła nie przypominał sobie o istnieniu mego ojca. On zaś stał się milczący i gniewny i patrzał wszystkim prosto w oczy, tak, jak się patrzy na wrogów. Przechodząc obok naszego domu ludzie z Börn z zaciekawieniem i podejrzliwością spoglądali na zamknięte drzwi i podnosili wzrok ku oknom, aby przekonać się o prawdzie krążących o mnie pogłosek: że żyłam chora i uwięziona w tym smutnym, zrujnowanym domu. Nikt jednak nie śmiał zapytać o to mego ojca.

* * *

W ciemności, wilgoci i zimnie upływały powoli ponure dni. Ojciec mój, który kochał mnie miłością pełną niepokoju i zazdrości, nie pozwalał mi na żaden gest, ani wyraz radości, litości lub miłości. Wystarczyło mego uśmiechu, aby poczuł się dotknięty: „Anno! Anno! Boję się!", wołał z głębi swego ciemnego pokoju.

Od czasu do czasu krył się w jakimś najciemniejszym kącie; tam płakał jak dziecko, przyciskając pięściami oczy, wstrząsany łkaniem...

Aby nie sprawiać mu cierpienia musiałam porzucić suknie, które nosiłam przed śmiercią mojej matki i włożyć nieprzerobione suknie mojej biednej mateczki. Spowinięta w obszerne fałdy starych aksamitów i zmiętych, wypłowiałych materjałów; ściśnięta w wystrzępiony atlas wysokiego gorsetu, czułam się rzucona na pastwę smutku minionych lat.

— Marjo! — błagał mnie ojciec, nazywając mnie imieniem mojej biednej mamy. — Marjo! — i patrzył na mnie zdaleka, zamglonem spojrzeniem, z zachwytem, malującym się na jego białej twarzy, nie śmiejąc zbliżyć się do mnie.

* * *

Tego dnia, kiedy Gonda wszedł do naszego domu, ojciec mój nie chciał go widzieć.

— Poco jest nam potrzebny? — zapytał. — Przygotuj mu pokój i nie zajmuj się nim więcej. To nowy pastor z Börn, który mnie zastąpi.

Jakby chcąc się usprawiedliwić, Gonda oświadczył mi na wstępie, że nie przybył poto, by zastąpić mego ojca, lecz poto, by mu pomóc.

Dał mi do zrozumienia, że pomoc jego pozwoli memu ojcu pozostać jeszcze długo w służbie kościoła.

— On jest bardzo, bardzo chory, — zakończył półgłosem, patrząc mi prosto w oczy. I poprosił mnie, abym ukryła przed mym ojcem istotną przyczynę jego przybycia do Börn.

Wysoki, szczupły, o młodej, surowej twarzy i czarnych, stanowczych oczach, Gonda mówił i uśmiechał się wesoło, jak ktoś, kto nie ma nic do ukrywania ani przed sobą ani przed innymi. Kiedy zauważył, że zamiast nazywać mnie mem imieniem, ojciec nazywa mnie imieniem mej biednej matki, przestał robić mi wyrzuty z powodu mego sposobu ubierania się i fryzury z innego stulecia.

Szczególnie byłam mu wdzięczna za dobroć, jaką okazywał w stosunkach z moim ojcem. Ojciec mój, zrazu traktował go pogardliwie, nazywał go „ten tam". Potem, stopniowo oswoił się ze zwyczajami wspólnego życia, a nawet upodobał sobie wieczory, spędzane w towarzystwie Gondy. Słuchałam ich w milczeniu; ilekroć oczy Gondy napotykały mój wzrok, zdawało mi się, że dom rozświeca jedna, wielka jasność.

* * *

U boku Gondy wszystko wydawało mi się mniejsze, delikatniejsze. Sama zaś czułam że drżę i płaczę, ilekroć on ujmuje moje dłonie i patrzy na mnie długo i w milczeniu. Potem uśmiechałam się, szczęśliwa.

— Anno, powiedział mi Gonda pewnego dnia, musisz raz skończyć z tą bolesną komedją. Matka twoja cierpi nad tem.

I kazał mi zdjąć wielki koronkowy kołnierz, ułożyć inaczej włosy na skroniach i czole i skrócić zbyt długą suknię.

Ojciec mój, spostrzegłszy tę zmianę, zawołał:

— Anno, odejdź! odejdź! — i ukrył głowę w dłoniach.

Gonda spojrzał na mnie.

— Zostań, — powiedział donośnym głosem.

Myślałam, że upadnę. Oparłam się o ścianę, podniosłam wzrok na Gondę lecz nie mogłam go dojrzeć; skierowałam się ku drzwiom i wyszłam. Zaledwie znalazłam się za drzwiami, poczułam, że zapadam się w otchłań wielkiej ciszy, gdzie dochodziły mnie dziwne słowa, zamglone, dalekie. Sens ich wymykał się mej świadomości. Gonda opowiadał, że ojciec mój miał atak spazmów, że miotał się jak dziecko, że mówił mu o mnie, nazywając mnie imieniem matki. Oskarżał Gondę, że pragnie jego zguby, że przybył tu, aby dom jego pogrążyć w rozpaczy — ten dom pełen bólu. Przelewając gorzkie łzy, błagał go, aby przynajmniej uszanował jego najgoretsze uczucie; aby — zagarnąwszy kościół, własność ludu z Börn, zostawił mu choć żonę — jego najdroższą Marję, jedynego jego człowieka, który go nie opuścił po śmierci jego córki, jego nieszczęsnej Anny...

— Chory jest — zakończył Gonda. Nie mam jednak odwagi do oszukiwania go w dalszym ciągu. Idzie tu o ciebie, rozumiesz? Nie mogę ci pomagać w odgrywaniu tej bolesnej komedji. Nie mogę faworyzować jego choroby. Dla jego własnego dobra trzeba, abyś potrochu stawała się jego córką. Dzień, w którym zamiast obrazu nieszczęsnej zmarłej — ujrzy ciebie — stanie się dniem jego wyzdrowienia.

Tego wieczora rozstaliśmy się, patrząc sobie długo w oczy, gdzie miłość rozniecila pierwsze zarzewie światła.

Poco wspominać to, com przecierpiała? te niekończące się dni mrok, godziny wyczekiwania w ciemnościach tego domu choroby? Nagłe przypływy strachu, kiedy, czułam ciążący na mnie wzrok mego ojca, lub kiedy w drugim końcu domu słyszałam jego daleki głos, wzywający mnie nie mojem imieniem?

Spostrzegłszy zmianę w mojej twarzy, ojciec oddalał się ode mnie i unikał spotkania ze mną. Często widziałam jak śpiesznie znikał na zakręcie w korytarzu, jak skrywał się w ciemnych kątach, jak przemykał się obok ścian, jak z przerażeniem uciekał na mój niespodziany widok.

„Marjo! Marjo!" — wołał nieraz, potem milknął i wstrzymywał oddech, bojąc się aby ktoś nie przyszedł do niego.

— Czy on wyzdrowieje? — pytali Gondy starcy. — Niech Bóg oszczędzi przynajmniej jego córkę!

Obawiano się, czy nie jestem czasem chora i wielu ludzi, którzy mnie widzieli w wielkim czepcu z żółtej koronki związanym pod brodą i w sukni z ogonem, zapewniało, że niedługo podążę wślad za matką.

Ja zaś czułam, że każdy dzień zespala mnie z Gondą węzłami czułej a głębokiej miłości.

Drzewa, domy, zwierciadła jasnych wód przywracały nam dzieciństwo i nieświadomość.

Często, nocą wznosiłam oczy ku obłokom, aby odczytać w nich święte słowa pokoju ludziom dobrej woli, a wyobraźnią widziałam maleńkie świeczki, płonące na choince w Noc Wigilijną.

* * *

Kiedy ojciec mój wyczytał na mej twarzy wyraz szczęścia, pochylił się i zaczął przyglądać mi się z wyrazem takiej zazdrości, że nie mogłam znieść ciężaru tego, to nienawistnego, to błagalnego wzroku; uciekałam przerażona rumieniąc się ze wstydu i trwogi.

— Nie obawiaj się! — pocieszał mnie Gonda. Nie uczyni ci nic złego.

Pewnego dnia, o zachodzie słońca pierwsze mgły uniosły się sponad lasów i opadały powoli na ośnieżone pola. Skierowaliśmy się w stronę jeziora, gdy nagle usłyszeliśmy poza sobą jakieś krzyki; były to krótkie, ochrypłe okrzyki, podobne do nawoływań pasterzy: „Eha! eha!"

— To nic. Niema nikogo, — mówił od czasu do czasu Gonda, odwracając się. — To Marno przywołuje swe barany.

Zaledwie przybyliśmy do trzech młynów, tam, gdzie droga biegnie wdół, ku jezioru, gdy doszedł nas jakiś głos:

— Shańbiłeś mój dom, Gondo! Ukradłeś mi żonę! Gondo! Gondo! Gondo!

Ciśnięty kamień, spadł prawie u mych stóp. Gonda objął mnie ramieniem i pobiegliśmy w kierunku wioski. Zapadł mrok. Mgła przeniknęła do wszystkich pokojów. Ze strachu nie mogłam nawet płakać. Gonda siadł na progu, nieruchomy, odwrócony twarzą ku drodze; od czasu do czasu odwracał się, aby spojrzeć na mnie, pogodny jak zwykle; oczy jego jaśniały w blasku księżyca a półotwarte usta zdawały się szeptać słowa modlitwy. Wreszcie powrócił mój ojciec: zgarbiony podejrzliwy, o wyrazie twarzy zalęknionego dziecka, które czuje się winne. Zatrzymał się przed Gondą, podniósł wzrok, zarumienił się, chciał przemówić, uśmiechnął się.

— Ojcze, — rzekł Gonda, stając nieruchomo we drzwiach i zagradzając mu przejście, — to coś uczynił jest złe. Świadczy to o tem, że nie wierzysz w Boga.

Ojciec mój utkwił w nim wzrok, zgarbił się, przeciągnął ręką po oczach.

— Zimno mi — wyjąkał.

— Nie modliłeś się już dawno, — ciągnął dalej Gonda cicho, — to źle; nie trzeba swych postępków ukrywać przed Bogiem.

Biedny chory starzec wysilał się na uśmiech, ale bolały go usta.

— Zimno mi, — powtórzył, z trudem otwierając usta.

Gonda cofnął się, pozwolił mu przejść, wodząc za nim wzrokiem w ciemności.

* * *

Od tej chwili nie miałam wytchnienia. Bałam się mego ojca; nie wiedziałam, jak mam go unikać, jak się urządzić, by się z nim nie spotykać, aby go nie widywać. „Biada! Biada!" wył nieszczęśnik i chował się w głębi domu.

Pewnego wieczora znaleziono mego ojca leżącego w rowie w pobliskiem miasteczku; leżał w błotnistym śniegu z zamkniętemi oczyma, nieruchomy i sztywny jak trup i śmiał się, powtarzając nieprzerwanie:

— Idźcie i opowiedzcie, że Gonda zabił pastora z Börn, ten Gonda, który ukradł mu żonę.

Ludzie podnieśli go, jak martwy ciężar i zanieśli na własnych barkach do domu, okrążając miasteczko, aby nikt go nie widział.

— Spójrzcie, Bóg przeklął starego pastora z Börn, — mówił od czasu do czasu tym, którzy go nieśli.

Potem nie chciał otworzyć oczu, ani uczynić żadnego ruchu; całą noc leżał uśmiechnięty na łóżku.

— Wstań, — rzekł doń Gonda następnego ranka — czyż nie czujesz, że cała ludność z Börn zgromadziła się przy tobie i patrzy na ciebie?

Ojciec mój otworzył oczy przestraszony, i ujrzawszy, że jest sam na sam z Gondą, zaczął płakać głośno, ukrywszy twarz w dłoniach.

— Biada! Biada! — szlochał. Zabili pastora z Börn, zostawili go w rowie; zostawili go samego.

I dalej majaczył w łóżku, miotając się i skarżąc, dopóki nie zmógł go sen i zmęczenie.

Tego wieczora Gonda zebrał starszych obywateli Börn i opowiedział im o stanie zdrowia mego ojca, o jego ustawicznych majaczeniach i dziwactwach, o niebezpieczeństwie, które mi zagraża — o ile oni temu wczas nie zapobiegną.

Gonda przemawiał z wielką słodyczą, ale i z wielką stanowczością.

— Tak długo był naszym ojcem — rzekł Marno, stary Marno, pasterz, który całe życie spędził w samotności łąk i lasów; — teraz jest naszem dzieckiem. Zatrzymamy go w Börn, a ty, Gondo, w jego imieniu zajmiesz się sprawami kościoła, jak to czyniłeś dotąd.

Wszyscy zgodzili się z tem, co powiedział Marno.

— On należy do całej ludności z Börn — rzekł Gonda. — Ale jego córka?

— Uczucie, jakie żywię dla jego córki — dodał po długiem milczeniu, nie pozwala mi być jej opiekunem.

I opowiedziałam o wszystkiem.

— Jest tylko jedno lekarstwo, — rzekł Marno do Gondy. — Ożeń się z nią.

Postanowiono, że ślub nasz odbędzie się w końcu zimy. Ojciec mój miał tak długo mieszkać w domu Marna, dopóki stan jego zdrowia nie pozwoliłby mu wrócić do nas.

* * *

W dzień mego ślubu ludność z Börn przybyła z najdalszych okolic; wszyscy otoczyli mnie i winszowali mi.

Ojciec mój nie wiedział o tem niezwykłem zdarzeniu. W wigilję mego ślubu Marno odprowadził go przez zamarzłe jezioro do folwarków, leżących na przeciwległym brzegu, oddalonym o pół dnia drogi od Börn. Ale sam poczciwy Marno wrócił na czas, aby ujrzeć mnie, wychodzącą z kościoła, wspartą na ramieniu Gondy.

Jeszcze nigdy nie czułam się tak szczęśliwa, ani tak smutna. Noc była jasna i pogodna; nawet drzewa nie rzucały cienia w blasku księżyca. Opowiadano mi później, że ojciec mój zjawił się niespodzianie na uczcie weselnej, nastroszony, rozjuszony, wyjąc jak zraniony wilk. Chwycono go za ręce i uprowadzono siłą, zakrywając mu usta ręką, abym nie słyszała jego głosu. Zawiedziono go aż za grupę muzykantów i okrążono tłumem, który śpiewał i tupał nogami, by zagłuszyć jego krzyki

* * *

Począwszy od tego dnia, życie moje płynęło jakiś czas spokojnie. Gonda był dla mnie bratem; nie ciążyła mi jego miłość mężczyzny. Tego roku panowała niezwykle długa i surowa zima. Stwardniały śnieg nie topniał; w pierwszych dniach marca skuwał jeszcze domy i osiedla. Ludzie powracający z północy przynosili wieści o możliwości głodu w całem Norrland i radzili ludziom z Börn, aby zaprzęgali sanie i zaopatrzyli się w mąkę na południu, dopóki jest jeszcze czas.

* * *

Widziano go przejeżdżającego brzegiem jeziora w stronę młynów: po kilku godzinach na drodze do Börn znaleziono jego sanie ze złamaniem siedzeniem i konia, potłuczonego, zabłoconego, zaplątanego w uprząż.

Gonda! Gonda! Gonda! Ludzie przybiegli, szukali i ryli wszędzie: w rowach, w lasach niskopiennych i sosnowych. Dom napełnił się ciżbą ludzką; nie mogłam nawet płakać, zdawało mi się, że ogłuchłam: widziałam poruszające się usta, ale nie słyszałam, co mówiły. Nagle dał się słyszeć odgłos kroków, szepty i sapanie.

— Ostrożnie! Ostrożnie! — szeptano dokoła. Ludzie zbliżyli się do stołu, stojącego pośrodku pokoju, i położyli na nim coś ciężkiego, delikatnego, ludzkiego.

Gonda! Gonda! Wyrwałam się, uczyniłam kilka kroków i padłam naprzód, prawie na pierś Gondy, który patrzył na mnie swemi pogodnie otwartemi oczyma, jaśniejącemi ponad rozchylonemi ustami na pobladłej twarzy.

— Najwięcej ucierpiała głowa — mówiono wokół mnie. — To napewno uderzenie kijem — mówiono. — I nikt go nie bronił; pozwalano mu umierać i nikt nie chciał go teraz obronić.

Wszyscy patrzeli na mnie bez odpowiedzi, kiwając głową. Wielu z nich, klęcząc przed oknem modliło się patrząc na czyste, wieczorne niebo i pierwsze cienie śród drzew. Jeden z nich zbliżył dłoń do twarzy Gondy, aby mu zamknąć powieki.

— Nie! nie! — zawołałam.

I nie mogłam nic poradzić, ani Gonda nie mógł nic poradzić. Ale któż to uczynił? Kto? Kto?

* * *

I nagle wszedł mój ojciec, zsiniały, rozczochrany, zabłocony. Spojrzał wokół siebie, nie widząc Gondy, wyciągniętego na stole, przeszedł, zgarbiony, skręcił ku drzwiom wiodącym do jego pokoju.

(Dokończenie na str. 9

Twórczość dramatyczna

jednym z głównych tematów obrad zjazdu literatów sowieckich

Twórczość dramatyczna ma swoje specyficzne cechy, odróżniające ją od prozy i poezji. Z tej właśnie różnicy wypływają określone wyraźnie postulaty w związku z przygotowaniem prac zjazdu. W teatrze, na scenie kształtuje się ostatecznie i nabiera wyrazu oblicze sztuki. Sztuka może być sama przez się najzupełniej udanem dziełem literackiem, na scenie jednak może się okazać bezwartościową w sensie teatralnym. Inaczej mówiąc, twórczość dramatyczna pozostaje w ścisłym związku z zagadnieniem samego teatru.

Wychodząc z tego założenia, należy dojść do wniosku, iż konieczną okazuje się współpraca z dramaturgiem personelu teatralnego, aktorów i reżyserów, którzy lepiej niż ktokolwiek znają, widzą i odczuwają „na własnej skórze" zasadnicze błędy naszej twórczości dramatycznej. Należałoby zatem przy organizacji zjazdu wyzyskać ich doświadczenie poparte doskonałą znajomością klasycznego repertuaru dramatycznego. Sądzimy, że tą sprawą powinien zająć się klub mistrzów sztuki, wypróbowany organizator tego rodzaju imprez.

Wypadałoby więc zorganizować coś w rodzaju konferencji mistrzów, wybitnych reżyserów i aktorów w celu wspólnego przedyskutowania zagadnień z dziedziny twórczości dramatycznej, oceny repertuaru bieżącego i ubiegłego, jako też tych wymagań, jakie teatry stawiają autorom dramatycznym. Pozatem są tu jeszcze innego rodzaju kwestje. Różnorodność kierunków w twórczości dramatycznej bywa uwypuklona w teatrze znacznie jaskrawiej niż w samych utworach scenicznych. Kwestja kierunków dramatycznych, będąca jednym z tematów obrad zjazdu, stanowić będzie bogaty materjał dla dyskusji, jeśli będzie opracowana uprzednio z punktu widzenia potrzeb i wymogów sceny teatralnej. Można tu spierać się o artystycznem pokrewieństwie Afinogenowa i MHAT'a, Majakowskiego i Meyerhold'a, Rogodina i teatru Rewolucji, i t. d.

Zanalizowanie na konferencji w klubie mistrzów sztuki takich zagadnień, jak związek między teatrem a autorem, jak pokrewieństwo metodologji tych rodzajów twórczości, odbędzie się niewątpliwie z wielką korzyścią dla przygotowującego się zjazdu literatów.

„Literaturnaja Gazeta", Moskwa.

„Kochankowie". Wacława Grubińskiego

Teatr Kameralny, „Kochankowie". Sztuka w trzech aktach W. Grubińskiego.

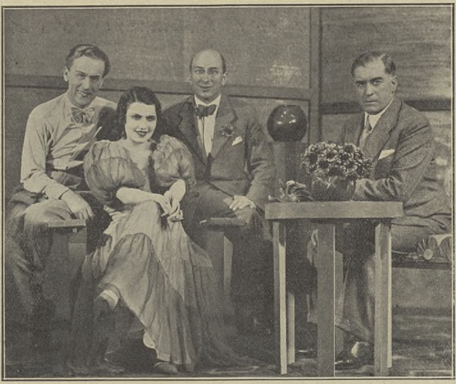
W pierwszem wydaniu książkowem „Kochankowie" byli tragedją, która kończyła się podwójną śmiercią: ojca i syna; w drugiem autor wygnał śmierć ze sztuki i zmienił całkowicie jej finał.

Zmiana ta nie jest tylko nową warjacją dawnego motywu, — drugi finał wyraża wprost przeciwne rozstrzygnięcie problematu, niż pierwszy. Tam szczęście matki i syna, Heleny i Wiktora, było niemożliwe od chwili, kiedy ojciec powiedział synowi kim jest jego kochanka, tu autor pozwala przypuszczać, że miłość ich będzie żyła dalej, mimo wszystko i ponad wszystkiem. W tem kameralnem zmniejszeniu problematu Edypa tragiczny zostaje tylko ojciec, który traci ukochanego syna, — kochankom udaje się ocalić swoje szczęście, wschodzące wraz ze świtem po tragicznej nocy.

Ta religja miłości ma w sobie jednocześnie coś bezbożnego. Podaje nam do wierzenia, że uczucie rządzi się według własnych wewnętrznych praw, wyłączonych z reszty ludzkiego świata duchowego. Biologja psychiczna miłości jest jakoby silniejsza, niż biologja fizyczna. Ten rasizm popędu miłosnego nie uznaje nad sobą niczyjej wyższości — układów społecznych, obyczaju, cywilizacji, umowy moralnej. Służy sam sobie. Sam sobie jest świętością i sam własnym wyznawcą. Wielkość tego uczucia rozrasta się do rozmiarów niezwykłych, lecz cała mieści się w pustce.

Triumf „Kochanków" polega na czemś nieludzkiem i nieżyciowem. Trudno zrozumieć ich przyszłe szczęście, trudno zgodzić się na ich dalsze pożycie.

K. Wierzyński.
„Gazeta Polska", Warszawa.



Pp. Brydziński (ojciec), Grubiński (autor sztuki), Grywińska (ona), Łuszczewski (on).

Sztuka z okresu zawieszenia broni

„Kochankowie" to niby współcześnie sprawa Edypa. Edyp — Wiktor poznaje w Paryżu Helenę. On dwudziestoletni student, ona piękna, wieloletnia i wielokrotna rozwódka. Występna miłość występuje u nich szybko i mocno. Kochankowie są bardzo szczęśliwi. W pewnym tragicznym momencie dowiadują się prawdy, której nie domyślali się nawet. — Helena jest matką Wiktora.

Oryginalność sztuki polega na jej poincie. „Kochankowie" zrozpaczeni, zmaltretowani i przerażeni zdumiewającą prawdą w pewnej chwili mówią sobie, że przecież dotychczas byli tacy szczęśliwi, więc teraz, kiedy naprawdę nic nie stało się nowego, nie powinno nagle im zacząć być źle. Wiadomość, która ich tak wzburzyła, odnosi się do przeszłości. Teraz zaś jest teraźniejszość, która musi być piękna. Postanowienie to kończy sztukę. Słońce nowego dnia, podobnego poprzednim. zaczyna świtać.

Inaczej, ta rzecz się przedstawia u Grubińskiego. Jego Edyp pochodzi z jakiejś epoki zawieszenia broni, w której posnęły wszystkie ludzkie, intelektualne i moralne trudności. Dziś znówby się niemi Edyp rozwichrzył i już taki z marcepanu i brylantyny mamin synek i kochanek nie byłby więcej możliwy.

T. Breza. „Kurjer Poranny".

Z patagońskich przygód Blasco Ibaneza

Anegdotka ta pochodzi z czasu, kiedy Blasco był hodowcą bydła w Patagonji. Jeden z jego rządców pokłócił się z nim pewnego dnia o pieniądze. Blasco wyrzucił go za drzwi i, wróciwszy, położył się spać. W nocy, lekki szmer budzi przyszłego powieściopisarza, który zazwyczaj śpi bardzo czujnie. Chwyta spod poduszki rewolwer i z oczyma wlepionemi w drzwi, zwolna otwierające się, czeka. Ktoś wchodzi, zbliża się do łóżka. Niema wątpliwości, że to rządca. Nie czekając więc dłużej, Blasco daje ognia: człowiek pada z dwiema kulami w brzuchu.

Przyznał się zresztą natychmiast, że miał zamiar zabić swego pana i dodał:

— Nie przypuszczałem, że będzie odrazu strzelał, bez uprzedzenia, — tonem najwyższego uznania.

Zaimponowało mu, że biały człowiek mógł mieć równie mało skrupułów, co on.

Po trzydziestu latach, Blasco-Ibanez wyjechał do Południowej Ameryki na tournée odczytowe. Pod koniec jednego z odczytów, zbliżył się do niego jakiś sześćdziesięcioletni, jeszcze czerstwy starzec, i przyglądał mu się z uśmiechem:

— Czy mnie pan nie poznaje? To mnie pan zabił trzydzieści lat temu!

Wzruszenie. Wspólne oblewanie spotkania. Wreszcie człowiek mówi:

— Zastanawiam się tylko nad jednem od tego czasu...

— Nad czem? — pyta Blasco.

— W jaki sposób poznał mnie pan wtedy w ciemności?

— Ależ po zapachu! — rzekł, uśmiechając się, powieściopisarz.

„Vendémiaire", Paryż.

Dokument odwagi młodości

„Kochankowie" pozostali interesującym dokumentem odwagi, z jaką młody ich autor (sztuka pisana jest w r. 1913), porwał się na trudne i śmiałe zagadnienie, ale sposób, w jaki je ujął, niezupełnie wytrzymuje próby czasu. Raz po raz błąkał się po ustach widza uśmiech, podczas gdy postacie sceniczne głośnym krzykiem lub bolesnym szeptem wołały o inny zgoła współudział... Sztuka, która porusza rzeczy wieczne, nie powinna być aż tak dalece zawisłą od mód literackich.

Z dawnego tercetu aktorów pozostał p. Brydziński w swojej słynnej przed laty roli ojca. Role „kochanków" objęli pani Grywińska i p. Łuszczewski. Grali poprawnie, i niezupełnie ich winą jest, że to nie wystarcza. Tutaj, aktor musiałby być niemal wywoływaczem duchów, niby medjum na seansie, i to na seansie odbywającem się w najtrudniejszych warunkach, w pełnem świetle.

Boy-Żeleński „I. K. C.".

Nowy Bayreuth

Anglja ma od niedawna nową operę, w której wystawiono „Wesele Figara". Mieści się ona w Glyndebourne, w posiadłości Mr. John Christie, który za wszelką cenę chciał stworzyć teatr w swym majątku. Posiadłość leży u podnóża wydm hrabstwa Sussex, a z teatru, mającego 320 miejsc, wychodzi się prosto do bajecznych ogrodów.

Anglicy, którzy mają zawsze naiwne i niespodziewane ambicje, w tej skromnej imprezie dopatrują się nowego Bayreuth. W Glyndebourne wszystko jest robione „w domu": teatr, kostjumy, dekoracje. Jest nawet kilku angielskich śpiewaków. Natomiast Figaro jest Niemcem (i głosem gasi całą resztę), Zuzanna — Finką, a Cherubin pochodzi z Wiednia! Dyrygent zaś nazywa się Fritz Busch.

„Je suis partout", Paryż.

Córka pastora z Börn

(Dokończenie ze str. 8)

Szedł z pochyloną głową, mówiąc głośno i gestykulując. Ujrzawszy nas, zatrzymał się, spojrzał Marno prosto w oczy i podniósł rękę, jakby w swej obronie.

— Co chcesz robić? — zapytał. — Przyszedłeś żeby mnie zabrać? Czego chcesz ode mnie? Jestem u siebie w domu, jestem tutaj panem; nie chcę intruzów w moim domu.

I skrył się w ciemnym kącie, dysząc i wzdychając. Ogarnęła mnie wielka litość; uklękłam przed nim i ucałowałam jego ręce. Zaczął drżeć, założył ręce wtył i w mroku śledził swemi zaczerwienionemi oczyma ruchy Marno, który zapalał jedną po drugiej świece w kandelabrach. Potem spojrzał na mnie z pokorą, przestraszony, a następnie pochylił się niespodzianie i pocałował mnie w głowę.

— Marjo, — powiedział, nazywając mnie imieniem mojej biednej matki. — Marjo, tylem wycierpiał dla ciebie. Teraz będziemy szczęśliwi.

Na te słowa chciałam wstać. Krzyknęłam.

— Pozwól mu mówić, — szepnął Marno, zbliżając się do mnie jakby w mej obronie, — nie obawiaj się; jestem tutaj; pozwól mu mówić.

Ojciec mój pochylił głowę; drżał na całem ciele.

— Marjo, — szepnął po długiem milczeniu, — wybaczam ci, Marjo; i ty jednak powinnaś mi wybaczyć; wybaczasz, prawda, że mi wybaczasz?

Boże! Boże! Boże! wołałam, czepiając się jego kolan i wyciągając rękę, aby zamknąć mu usta.

Marno wziął mnie za ręce i chciał wyprowadzić z pokoju.

— Zostawcie mnie, — błagałam. — Zostawcie mnie! Gonda! Gonda! Gonda!

Na dźwięk tego imienia ojciec mój rzucił się wtył, zawył, i runął na ziemię. Marno rzucił się na niego, wziął go za ramiona i przytrzymał na ziemi, przysuwając twarz do jego twarzy.

— Musisz przemówić, — powiedział. — Cicho, musisz powiedzieć dlaczego, dlaczego, dlaczego.

— I ty też, Marno, — rzekł łagodnie, — i ty też chcesz zrobić mi krzywdę.

Wyciągnięty na ziemi wyglądał jak umarły. Nagle uniósł się na łokciach, opadł, a potem zaczął się znowu dusić i wzdychać, zamknąwszy oczy.

— Gdzie masz laskę? — zapytał nagle Marno.

— Gonda, gdzie jest Gonda? — wyjąkał wreszcie.

A kiedy Marno uczynił ruch, aby powiedzieć: „tam" — zawył, podniósł się, ale uczyniwszy kilka kroków, runął, uderzywszy głową o ziemię: Gonda! Gonda! Gonda!

„Candide". Paryż.

Jarzmo czarnego człowieka

Banda japońskich kłusowników rybnych wylądowała pewnego razu w rezerwacie tubylców w okolicach zatoki Kaledońskiej w Australji. Napadli na dzikich, porwali pięć kobiet i zamknęli je w chatce nadbrzeżnej. Tej samej nocy tubylcy zebrali się i zaatakowali japończyków. Zabili pięciu z nich. Reszta uciekła.

Było to zgodne z ich pierwotnem prawem.

Wysłano ekspedycję karną z fortu Darwina w celu znalezienia winnych. Ekspedycja wróciła z niczem.

Wtedy dwaj biali misjonarze, którzy pozostawali w stałym kontakcie z tem plemieniem, zaofiarowali się, że znajdą morderców i oddadzą ich w ręce policji.



Udali się do Zatoki Kaledońskiej i zaczęli przekonywać czarnych, aby oddali się w ręce sprawiedliwości białych ludzi.

„Nie bójcie się, mówili. Cokolwiek się stanie, my będziemy z wami".

Ufność tych pierwotnych ludzi w słowa białych była tak wielka, że trzej tubylcy, którzy przyznali się do przewodnictwa w napadzie, udali się z misjonarzami do Portu Darwina.

Nie znali praw białego człowieka i nie przewidywali skutków. Opuścili dobrowolnie domostwa swoje i, z prostotą dzieci, poprowadzili misjonarzy przez stepy do miasta. Natychmiast po przybyciu, wydani zostali w ręce policji i zamknięci w więzieniu.

Przez całą następną noc walili w kraty i wołali żałośnie swoich misyjnych przyjaciół. Tydzień temu stanęli przed sądem na sprawie wytoczonej przeciw nim i nic nie mogli zrozumieć.

CZARNE KARTY

Traktowanie australijskich plemion przez białych w ciągu ostatniego stulecia jest jedną z najczarniejszych kart w historji angielskiej ekspansji kolonialnej. Jest to krwawa opowieść. Do niedawna naprzykład, najmilszą niedzielną rozrywką białych kolonistów na niezamieszkałych terenach było strzelanie do ludzi, jak do kangurów czy psów dingo.

Czarni nie mają przedstawicielstwa w parlamencie, ani głosu we własnych sprawach. W sądach dotychczas nie zwraca się uwagi na ich świadectwo, w „mieszanych" sprawach. To jedno już wystarcza, aby tubylec nie skarżył białego, który go krzywdzi.

Ziemię ich odebrano bez żadnego wynagrodzenia, pozostawiając im wolny wybór między zupełną zagładą a zabijaniem bydła białych. W takich wypadkach oddawano ich pod władzę policji i, po krótkiej, niezrozumiałej dla nich procedurze, skazywano na długotrwałe więzienie. Skazanie na dwa lata ciężkich robót było do niedawna zupełnie normalne dla chłopca dziesięcioletniego. Na świadków sprowadzano do sądu gromady trzydziestu i czterdziestu czarnych w kajdanach. Było to korzystne tylko dla dozorcy policyjnego, który dostawał po dwa szylingi dziennie na racje pokarmowe dla więźniów.

W Australji zachodniej traktowanie tubylców przez białych stało się na początku stulecia tak okrutne, że rząd stanowy wyznaczył pełnomocnika do przeprowadzenia dochodzeń. Raport jego wywołał sensację w dyplomatycznych kołach Europy.

Zaraz po wylądowaniu pan ten, zobaczył cały tłum czarnych więźniów, razem skutych, którzy ciągnęli taczki naładowane metalem do budowy dróg w pustyni.

Aresztowania czarnych i oskarżanie ich o zabijanie bydła, stało się całym przemysłem. Rząd zrobił wielki błąd, wyznaczające premje pieniężne za każdego uwięzionego tubylca.

Czarnych można było aresztować bez nakazu władzy i bez dochodzenia.

Dla uspokojenia oburzenia, wywołanego raportem, stworzono nowe prawa, ale skutki ich były słabo odczute przez czarnych.

MASAKRA

W dwadzieścia dwa lata po pierwszem dochodzeniu, w r. 1926 wyszła najaw masakra tubylców. Pewien czarny został obity batem przez farmera nazwiskiem Hay, ponieważ oskarżył go o uwiedzenie żony. Tubylec pobiegł po włócznię i zabił farmera.

Kilku kolonistów i policjantów przekroczyło wówczas granice osiedla czarnych, których ziemię zagarnął właśnie ów Hay i pozabijało wszystkich znajdujących się tam tubylców. Spalili potem dla zatarcia śladów ciała i grozili śmiercią intendentowi misji duchownej, który wykrył zbrodnię. Misjonarz doniósł mimo to o morderstwie i rząd Australji Zachodniej wyznaczył komisarza dla przeprowadzenia dochodzenia.

W całej okolicy wszyscy jednomyślnie milczeli, ale oskarżono dwóch policjantów. Mimo to, nastawienie władz wciąż jeszcze było wrogie dla tuziemców.

Dwaj policjanci oskarżeni o morderstwo odpowiadali przed urzędnikiem, który ich uniewinnił i zwolnił. Misjonarz, który doniósł o morderstwie, został przeniesiony.

Niedawno temu wykryto większy jeszcze skandal.

Banda tubylców zabiła myśliwego nazwiskiem Brookes, który strzelał do psów dingo tresowanych przez czarnych umyślnie do polowania.

Dingo niszczą owce i czarnym nie wolno mieć więcej niż jednego niezarejestrowanego psa. To jeszcze bardziej ogranicza ich możliwości polowania i dlatego boleśnie każdą stratę odczuwają.

Po morderstwie oddział policji urządził prawdziwy pogrom czarnych. Ponad 70 ludzi, którzy zbliżyli się do policji, powiewając gałęzią na znak pokoju, zmieciono ogniem karabinowym.

Wszczęto dochodzenie i okazało się, że zeznanie przywódcy oddziału policji różniło się bardzo od pierwszego jego sprawozdania.

Oficjalna wersja brzmiała, że tubylcy nie zwracają uwagi, kiedy do nich przemawiają „w imieniu Króla", ale mimo, że mogą nie rozumieć rozkazu, prawo pozwala do nich strzelać.

Policjanci mają władzę życia i śmierci nad czarnymi. Tubylcy nie mogą ich oskarżać o okrucieństwo, ponieważ są ich zwierzchnikami „opiekunami", z władzą dysponowania nimi zależnie od własnego uznania.

PRACA DARMO

Każdy biały kolonista w puszczy może zwrócić się do naczelnika policji o ogólne pozwolenie zatrudniania pewnej liczby tuziemców rocznie, oczywiście bezpłatnie. Pozwolenie to kosztuje 10 szylingów.

W roku ubiegłym rząd australijski zarządził dochodzenie w sprawie traktowania czarnych przez policję. Wyszło na jaw, że pewną kobietę bito wielokrotnie i zmuszano do jedzenia soli i popijania jej słoną wodą. Zdarto z niej przytem odzież i kazano chodzić nago. Krępowano jej ręce i nogi tak długo aż zmarła poczem pochowano ją w jakimś dole.

W innych wypadkach bito czarne dziewczyny laskami na posterunku policji, a ręce trzymać im musiał tubylec.

Więźniów wyganiano na deszcz bez ubrania.

Pewien policjant, skazany za okrucieństwa w stosunku do tuziemca, został uniewinniony przez sąd najwyższy, a doradca prawny tubylca nie został dopuszczony przed sąd, dla oświetlenia zajścia.

Poważnem zagadnieniem stało się zagadnienie mieszańców.

Ostatnie obliczenia wykazują, że liczba ich wzrosła z 12.000 do 20.000 w ciągu dziesięciu lat. Liczba tubylców czystej krwi zmniejszyła się do 60.000. Sto lat temu było ich miljon.

EKSTERMINACJA

Wielki szczep Arunta w Australji środkowej liczy zamiast tysięcy tylko setki głów. Ongiś potężne plemię w okolicy Alice Springs, zniknęło zupełnie.

Eksterminacja w Tasmanji dokonała się już sto lat temu. Proklamowano prawo wojenne i 4000 policjantów i cywilnych przez sześć tygodni polowało na tubylców i wpędzało ich na wąski cypel półwyspu.

Wiek postępu w Australji objawił się w budowaniu wielkich miast i kolonizowaniu olbrzymich przestrzeni, przez całe wieki zamieszkałych przez dingo i plemiona ludzi pierwotnych.

Cywilizacja objęła cały kontynent i wywłaszczyła tuziemców ze wszystkich terytorjów na południu. Środkowe i północne połacie kraju są kolonizowane teraz, a królestwo czarnego człowieka zmniejsza się z roku na rok.

Na południu rasa australijska wymiera. W Wiktorji są nikłe jej resztki i tylko na północy żyją jeszcze plemiona tak, jak żyli ich przodkowie przed przybyciem kapitana Cook'a

Patrzą oni na białego człowieka jak na istotę wyższą i nieomylną. Ufają jego uczciwości. Łatwo więc można zrozumieć, dlaczego trzej tuziemcy w Porcie Darwina przez całą noc szarpali kratami więzienia i żałośnie wzywali swoich „przyjaciół" misjonarzy.

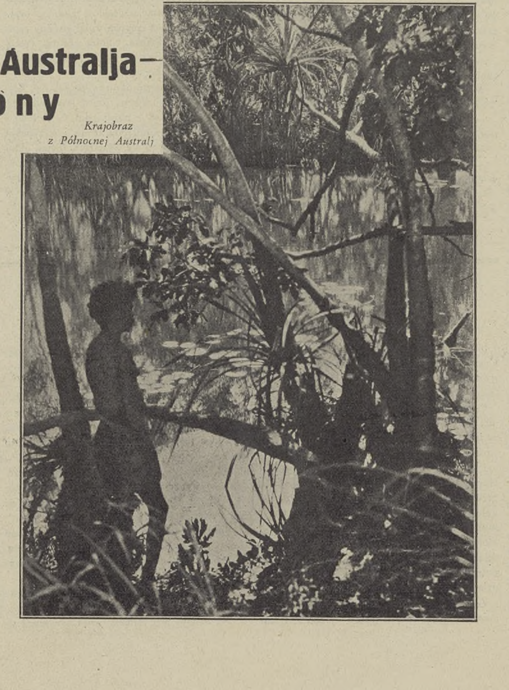
„Daily Express", Londyn.

Australja — z innej strony

Kraina Aruhem. — Geografowie powiadają, że leży ona na północnem wybrzeżu Australji; ci jednak, którzy tam byli, są zdania, że leży ona po drodze do piekła. Klimat jest niedobry i tropikalny; przedewszystkiem jednak samotność zżera tam białego człowieka. Tragedja za tragedją!

Linja wybrzeża północnej Australji jest tak długa, jak linja między Portugalją a Moskwą; mieszka zaś tam mniej ludzi, niż w małem, niemieckiem miasteczku. Tu, na tem wybrzeżu, niedaleko kraju Aruhem, upał i samotność, nieprzebyte zarośla, komary i aligatory omal nie połknęły lotników niemieckich Bertrama i Klausmann'a. To, że zostali uratowani — wydaje się dziś jeszcze cudem. Tubylcy bardzo chętnie posyłają dusze białych do Ana-tua, siedziby bogów; to, że oszczędzili obydwóch niemców wydaje się doprawdy zagadką...

Ludność bowiem z Aruhem, to nie te drobne, pochylone, trwożliwe postacie, jakie się napotyka w Australji Środkowej i które żyją w rezerwatach właściwie tylko dzięki łasce białych. Ludzie z Aruhem — to wysocy, silni i królewscy władcy swego terytorjum. Widocznie przywędrowali tam niedawno temu z Nowej Gwinei, wskutek jednak skrzyżowania z dawną ludnością, posiedli jakieś dziwaczne cechy. Tu i owdzie widuje się ludzi o łapach zwierzęcych: wielki paluch u nogi znajduje się nawprost reszty palców, podobnie jak wielki palec u ręki. Jest to nigdzie niespotykane zjawisko na świecie. Inną, równie małoznaną osobliwością australijczyków są dzieci, do chwili nadejścia dojrzałości płciowej obrośnięte gęstą, jasną, wełnistą sierścią, pokrywającą całe ciało.



Krajobraz z Północnej Australj

Są to ludzie z epoki kamiennej. Doskonali miotacze oszczepem, którego oścień sporządzony jest z zaostrzonego kamienia. Przypomina nam żywcem oszczep z epoki kamiennej Niemiec. Badacz niemiecki Klaatsch zabrał z sobą do Aruhem — dla żartu — kilka włóczni z muzeum niemieckiego. Niektóre nie miały dostatecznie zaostrzonych ościeni. Zdumieni i zachwyceni tubylcy wyrazili swój podziw dla profesora i jego zdolności sporządzania tak doskonałych sztuk broni, oszlifowali niegotowe jeszcze włócznie i zaczęli niemi rzucać, jak swoją dawną własnością. Istne zmartwychwstanie broni naszych przodków!

WIELCY AKTORZY

Ci ludzie z Aruhem — to wielcy aktorzy. Istnieje pewne plemię, które przed stu laty w gronie swem liczyło kilku ostatnich białych. Kiedy, przed kilku laty przybył do nich znowu pierwszy biały, odegrali przed nim cały dramat. Biały odrazu zrozumiał, o co idzie: odegrano przed nim pantonimę, wyobrażającą lądowanie okrętu sprzed stu lat, kapitana, chłopca okrętowego, zarzucającego linę, kucharza i żołnierzy; wszystkich o typowo angielsko-europejskiej postawie. Pamięć każdego wykonanego wówczas ruchu przez trzy pokolenia wiernie i dokładnie przechowała się w tańcu tych ludzi.

Epoka kamienna nie chroni przed próżnością. Mężczyźni tatuują się, kobiety robią się na

(Dokończenie na str. 11)

O wartościach leczniczych wód mineralnych Buska-Zdroju

Jeśli mam mówić o wartościach leczniczych wód buskich to jest mi o tyle łatwiej, że jakkolwiek naukowych danych odnośnie wód siarczanych do ostatnich lat było niewiele zato w chwili obecnej wody naszego Zdrojowiska zostały częściowo zbadane; pod względem ich struktury fizyko-chemicznej przed dwoma laty przez Prof. Marchlewskiego, zaś pod względem działania leczniczego na ustrój ludzki są obecnie przeprowadzane badania w warunkach naukowo-klinicznych.

Można już więc mówić o uzasadnieniu naukowem działania tych wód, co jest potwierdzeniem tego o czem doświadczenie zdrojowe zarówno lekarzy jak i chorych wiedziało lub przeczuwało już od dawna, rzadko bowiem bywa inaczej aniżeli fakt, że eksperyment naukowy potwierdza to co życie dawno wskazało i może czego całkowicie lub częściowo potwierdzić nie mogło bez nowoczesnych podstaw naukowych.

Faktem takim jest lat sto owocnej egzystencji sferach lekarskich, głównie zaś w sferach szerokiej publiczności uważać za Zdrojowisko przeznaczone niemal w stu procentach dla chorych na przymiot. Sprawa ta nigdy nie przedstawiała się w ten sposób, obecnie zaś pod wpływem wprowadzenia nowoczesnych sposobów leczenia przymiotu zmieniła się tak dalece, że ilość chorych kiłowych w Busku nie dosięga dziesięciu procent ogólnej frekwencji, co już dawno w swej pracy o ewolucji lecznictwa w Busku cyfrowo uzasadnił Dr. Krzemiński. To też należy skończyć już z tym przesądem i pozbawienia Buska tego przesądu.

Zgodnie z dawno ustalonemi i obecnie potwierdzonemi danemi, stosujemy kąpiele siarczano-solankowe w tych sprawach, kojarząc je w razie potrzeby z kąpielami lub zabiegami mułowemi, uwzględniając przy ich stosowaniu nietylko czynnik cieplny, ale i właściwości siarki jako takiej, wymagającej w ustroju ludzkim procesy spalania, wchłaniania i zmiany w sokach i tkankach ustroju. To też w czasie ku-



Zdrojowiska, które niewątpliwie rozwija się pod względem urządzeń balneo-technicznych, jak i trwałego przyrostu frekwencji, która w stosunku do frekwencji z 1913 roku wzrosła więcej aniżeli dwukrotnie.

Busko Zdrój zawdzięcza swą sławę obecności wody mineralnej, która posiada szczęśliwą kombinację chemiczną, jest ona bowiem solanką siarczaną z równoczesną zawartością jodu, wapnia i magnezu, przyczem ilość siarkowodoru i związków siarkowych jest dwukrotnie wyższa od zawartości tych składników np. w wodach Piszczańskich, które prócz tego nie zawierają i soli. Faktem jest, że Polska posiada Zdrojowiska silniejsze pod względem stężeń siarkowych w ich wodach, aniżeli jakiekolwiek Zdrojowiska inne w Europie, co powinno być przez ogół chorych dobrze znane, aby nareszcie upadła manja wyjazdów do Zdrojowisk zagranicznych rzekomo dla ich silniejszej mocy. Nie można kwestjonować, że wiele zdrojowisk zagranicznych dzięki włożeniu w ich rozbudowę wielkich kapitałów przewyższa pod względem urządzeń leczniczych i rozrywkowych niektóre Zdrojowiska w Polsce, niemniej przeto nie jest to w tak ścisłym związku z ich wartością leczniczą, aby dawało prawo moralne polakowi unikania polskiego zdrojowiska. Jednym z Zdrojowisk polskich, które w miarę środków finansowych i dzięki troskliwej opiece własnego Rządu rozwija się planowo, jest Busko, które dzięki wyjątkowej wartości swych wód posiada bardzo szeroki zakres możliwości leczniczej.

Jeśli chodzi o rodzaj leczonych u nas chorób, to na pierwszem miejscu stoją schorzenia reumatyczne, wszelakiego pochodzenia, wady przemiany materji (artretyzm, otyłość i dna), choroby skórne, nerwobóle i newralgje (ischias), stany po złamaniach i urazach, oraz pozapalne, i syfilis czyli przymiot, zwłaszcza w okresie późniejszym. Ta ostatnia kategorja chorych wymaga oddzielnego omówienia ze względu, że ostatnie dwa dziesięciolecia przed wielką wojną były okresem, kiedy Busko chciano mniej w racji kąpielowej obserwujemy zmniejszanie się lub znikanie obrzęków, nacieków, poprawę ruchową, oraz znaczne złagodzenie lub znikanie dolegliwości zarówno podmiotowych jak i przedmiotowych. Podobnie ma się sprawa ze stanami po złamaniu oraz nerwobólami i newralgjami z tak bardzo rozpowszechnioną rwą kulszową (ischias), przy których dzięki stosowaniu wód i mułu buskiego otrzymujemy wyniki lecznicze niemal w 100% pewne.

Także i choroby skórne leczone są z wielką korzyścią w Busku dzięki własnościom siarczanej solanki oddziaływania ogólnego na organ chory z jednej strony, z drugiej zaś miejscowego zadziałania na schorzałą skórę, gdzie widzimy znikanie objawów zapalnych, wykwitów, owrzodzeń i nacieków, i powrót skóry do normalnego stanu. U chorych na przymiot po przeprowadzeniu swoistej kuracji solami rtęci, bizmutu lub stosowania jodu czy salwarsanu, kąpiele siarczane mają znaczenie pierwszorzędne, jako wypłukujące z ustroju zaległości trujące i wzmacniające organizm, czyli tak zwane leczenie konsolidujące.

Jeżeli chodzi o działanie wody mineralnej Buska, to badania ustaliły korzystny wpływ podawania wód siarczanych na przemianę węglowodanową w ustroju, na wydalanie kwasu moczowego, działania moczopędne i to zarówno zdrowych jak i chorych, oraz ostatnio o korzystnych wynikach stosowania wód siarczanych w chorobach, związanych z przecukrzeniem w ustroju, a więc w różnych stanach cukrzycy.

Badania są w toku, dają nam one wytłumaczenie zjawisk obserwowanych dotąd, oraz odsłaniają nowe horyzonty. Wszystko razem stwarza fakt, że Zdrojowiska zmieniają się pod względem naukowym, rozwijają się we właściwym kierunku i są gotowe i zdolne do spełnienia swej roli leczniczej, opartej o wysoką wartość swych wód zdrojowych.

Dr. Eugenjusz Budzyński.

ANGLJA I POLSKA DOMAGAJĄ SIĘ ZAWIESZENIA BRONI

Anglja i Polska biorą udział w pojedynku o pierwszeństwo na rynkach węglowych Europy. W tym miesiącu będą robione wysiłki, które mają doprowadzić do rozejmu. W obu krajach zdają sobie sprawę z tego, że obecne współzawodnictwo doprowadzi do katastrofy.

Delegacja brytyjskich właścicieli kopalń, ma udać się do Warszawy w celu podjęcia nanowo rokowań w sprawie podziału rynków. Kiedy ta delegacja angielska będzie w Warszawie, delegacja polska będzie w Londynie prowadziła układy w sprawie traktatu handlowego między obydwoma krajami.

Należy się spodziewać, że dyskusje węglowe zakończą się przed rozmowami rządów i że wynik dyskusyj warszawskich będzie miał wpływ na przebieg rozmów londyńskich.

Ironją obecnej sytuacji jest, że poprzednia serja czarnych paktów — z krajami skandynawskiemi — spowodowała intensywniejsze współzawodnictwo na innych rynkach, szczególnie we Włoszech, które dotychczas były jednym z najlepszych klientów Anglji.

Skandynawskie umowy z Anglją zamykają część rynków przed Polską. Ocenia się szkody Polski na 90.000 tonn miesięcznie. Polska koncentruje się tedy na rynkach włoskich. Straty Południowej Walji we Włoszech ocenia się na 125.000 tonn miesięcznie.

Polska wkracza na rynek egipski i konkuruje z Południową Walją. Oferta Walji, na propozycję kolei egipskich w sprawie kontraktu na 270.000 tonn, przewyższa polską próbną ofertę o 40%. Egipskie władze wolą jednak lepszy gatunek i zawierają umowę z Południową Walją.

Anglja wkracza na rynek austrjacki w znacznej mierze podzielony między Niemcy i Polskę. Austrjackie koleje związkowe po zebraniu próbek zamówiły obecnie 12.000 tonn węgla w New-Castle.

Dotychczas Anglja ma jeden punkt na swoją korzyść, ale wiadomo, że władze polskie przygotowane są na subsydjowanie eksportu węgla przez udzielanie specjalnych ulg taryfowych na odcinku od kopalni do wybrzeża morskiego. Dlatego obie strony domagają się rozejmu.

„The Daily Express", Londyn.

Radium-Palace w Jachymovie

Prawdziwą perłą uzdrowisk czeskich jest Jachymov ze swym naprawdę imponującym Radium-Palacem.

Radium-Palace, prowadzony przez znanego w całej Czechosłowacji działacza społecznego p. Urbana o fenomenalnych wprost zdolno-



ściach, jest jakby odrębną jednostką pełną życia. Posiada wyjątkowy zupełnie czar i zdala już wywiera niezwykle imponujące wrażenie, które się potęguje przy jego zwiedzaniu.

Jachymov posiada najsilniejsze rado-aktywne wody na świecie, ten rad najcenniejszy ze wszystkich środków, który leczy, odświeża i odmładza. Nic też dziwnego, że goście z Karlovych Var i Marianskych Lázni odległych zaledwie o kilka klm. starają się chociażby na przeciąg krótkiego czasu zawitać do Radium-Palacu w Jachymovie, aby móc wykorzystać o cudownych własnościach kąpiele, które mają wpływ na przemianę materji i na pobudzenie organizmu.

Właściwości lecznicze najważniejszych w kuracji jachymovskiej pierwiastków jak rad i gaz radoaktywny lub emenacja są wynikiem działania ich na organizm zapomocą promieniowania.

Wywierają dobroczynny skutek przy leczeniu podagry, reumatyzmu, stanów nerwowych, wyczerpania ogólnego, newralgji i innych. Jest to prawdziwa kuracja odmładzająca.

W roku bieżącym, zarząd Radium-Palacu dzięki zarządzeniom p. Urbana wprowadził ryczałtowe kuracje, które przy komforcie, jaki tam panuje, dają możliwość wszystkim odbycia kuracji po bardzo zniżonych cenach o czem bezinteresownie bliższych informacyj może udzielić Czechosłowackie Biuro Informacyjne, Warszawa, ul. Żabia 4.

Jachymov jest idealnem miejscem wypoczynkowem, to też zarząd uzdrowiska stale otrzymuje dowody uznania.

Dr. Inż. J. Waldmüller.

AUSTRALJA Z INNEJ STRONY

(Dokończenie ze str. 10)

„bóstwa". Tam gdzie mamy nieraz dołeczki na twarzy, maluje sobie kobieta aruhemska czerwone kółeczko, w którem siedzi żółty, czarny lub niebieski punkcik. Codziennie dobiera się inny kolor punkcika, a od czasu do czasu zmienia się obwódkę, aby umożliwić nowe zestawienie kolorów. Na inne warjacje mody nie pozwala im, niestety, strój: pominąwszy bowiem punkciki na twarzy, chodzą zupełnie nago.

Mężczyźni noszą tylko mały kłębuszek z włosów i piór, wielkości sporego jabłka, uwiązany na wstążce na szyi; podczas walki biorą go do ust i nadgryzają. Pewien pomysłowy Chińczyk, który chciał im w miejsce kłębka sprzedać gumę do żucia, został przez nich zakłuty.

Aruhem przedstawia sobą krajobraz podzwrotnikowy, krajobraz mórz południowych, nie zaś beznadziejny pejzaż pozostałej części Australji. Występują tutaj, naturalnie, rośliny jakie znajdują się tylko w tej części świata, odciętej przez tysiące, a może miljony lat od reszty globu; części świata, w której życie brało swój własny początek i rozwój: 65 procent wszystkich roślin, 95 procent ptaków, znanych w całej Australji nie występuje nigdzie na ziemi. Są tu kangury i torbiaki, dziobaki i mrówkojady. No i aligatory.

A przyszłość tego kraju? Zależy od tego, czy biali nauczą się obchodzić z tubylcami, i czy czarni skłonni są zapomnieć przewiny białych. Zależy również i od tego, czy będzie kiedyś gotowa kolej, która ma prowadzić przez Australję wpoprzek od południa ku północy. Wtedy rozkwitłby potężnie Port Darwina i kraj leżący poza nim, — dziwnym bowiem zbiegiem okoliczności wszystkie wielkie porty Australji leżą po stronie, odwróconej do Europy. Z tych też, zdaje się, powodów, Południu nie zależy wiele na ukończeniu kolei. Biali mieszkańcy krainy Aruhem pozostaną zatem dalej w piekle samotności, śród ludzi z epoki kamiennej.

Rolf Reissmann
„Die Woche", Berlin.

Muzealna ulica

Kupcy z Faubourg Saint-Honoré, którzy cieszą się uzasadnioną reputacją ludzi zdecydowanych, zmienili teraz tę starodawną ulicę na istne muzeum. Przedmioty, wystawione na sprzedaż w kilkudziesięciu sklepach tego, jednego z najstarszych ośrodków handlowych Paryża, przedstawiają sobą olbrzymią wartość historyczną.

Znajdujemy tu wszystko, począwszy od trzewików z czasów Franciszka I aż do ostróg Napoleona III. Między eksponatami znajduje się złoty przybór toaletowy, ofiarowany przez Ludwika XV-ego jednemu z jego przyjaciół, oraz „biureczko narzeczonej". Piękny ten mebel, podobny do biurka współczesnej damy, zaopatrzony jest w suszki do atramentu, flakoniki z pachnidłami, wycieraczki do piór i puszki do pudru.

Innym znowu ciekawym szczegółem tego pokazu jest kilka rachunków Napoleona Bonaparte, ofiarowanych przez pewnego perfumiarza. Wynika z tego, że Napoleon był bardzo rozrzutny na punkcie rękawiczek. Za sześć par białych, sztywnych rękawiczek płacił jednak tylko 14 franków, 40 centymów, a flaszka wody kolońskiej kosztowała go tylko dwa franki.

To przeobrażenie przedmieścia Saint-Honoré na prawdziwie ciekawe muzeum stanowi część podjętej kampanji, mającej na celu urządzenie w Paryżu sezonu, któryby przyciągnął gości z zagranicy.

„Sunday Times" Londyn.

Roastbeef przestaje być narodową potrawą anglików

Słynny w Starej Anglji „rozbef" traci z roku na rok popularność — jeszcze jeden dowód zmiany czasów.

Pan Ormsby-Gore, przedstawiciel Ministerstwa Rolnictwa biada nad tem, że w Anglji spada spożycie mięsa. Potwierdzają to sprawozdania za r. 1933 intedenta Smithfield Market, największego targowiska Londynu, wykazujące również znaczny spadek konsumcji w porównaniu do r. 1931. Obroty roczne były tak nikłe, że niektórzy z wielkich importerów zamknęli swoje stoiska w hali.

Stało się tak, że jedynie klasa pracująca jest ostoją rzeźników w Anglji. Dawno minęły już czasy Samuela Pepysa czy Dickensa. Nieliczne domy angielskie pozwalają sobie na olbrzymie niedzielne ćwiartki wołu, ozdobę świątecznego stołu. Ilość dań skurczyła się z pięciu, siedmiu czy dziewięciu do dwóch lub trzech. Rozbef nie jest niewzruszoną pozycją w jadłospisach restauracyjnych, za wyjątkiem chyba takich instytucyj jak Simpson na Strandzie, czy Cheshire Cheese na Fleet-Street i kilku innych restauracyj, które utrzymują kult minionych tradycyj.

Za zmianę tę w pewnej mierze odpowiedzialni są lekarze i djetetyści, których wywody, że mięso należy jeść niewięcej niż raz dziennie, a podczas upałów wcale — znalazły chętny posłuch. Sałaty i zielone jarzyny stają się coraz popularniejsze, podczas gdy dawniej ziemniaki i kapusta były nieodzownemi składnikami każdego angielskiego posiłku. Młoda generacja wychowywana jest już całkowicie na nową modłę.

Także i bary są bardzo w modzie, nawet w najelegantszych hotelach i restauracjach. Bardzo są faworyzowane przez bywalców teatralnych, którzy wolą krótki posiłek na stojąco, niż naprędce zjedzony obiad.

Instytucję niedzielnego obiadu zachwiało pozatem rozpowszechnienie aut i wycieczek niedzielnych czy week-endowych. Rodziny, wyjeżdżające z miasta, posilają się w zajazdach wiejskich albo zabierają prowiant ze sobą.

Mówią, że wołowina i piwo uczyniły Anglików tem, czem są teraz. Wołowina przestaje być modna, ale przynajmniej piwo, ciągle jest narodowym napojem, „winem Anglji".

„The New-York Times", Nowy York.

Przewodnik po północnej Francji

Ukazał się z druku i jest do nabycia „Livret Guide Officiel — Chemin de fer du Nord" na rok 1934.

Przewodnik po Francji Północnej, poza szczegółowym opisem, zawiera cały szereg ładnych fotografij. Do przewodnika załączonych jest 20 kart pocztowych z najładniejszemi widokami z Francji Północnej, jak również 5 zbroszurowanych (każdy oddzielnie) planów: Paryż, Amiens, Lille, Beauvais oraz Compiègne z okolicami.

Cena przewodnika wraz z dodatkami wynosi Zł. 1.80, z przesyłką Zł. 2.30. Suma ta może być wpłacona w znaczkach pocztowych.

Zwracać się do Przedstawicielstwa Kolei Francuskich w Polsce — Warszawa, Ossolińskich 4.

Więcej wypadków w domu niż na ulicy

Podczas konferencji, która odbywała się w Londynie w związku z bezpieczeństwem w życiu codziennem, zdołano ustalić, że zdarza się więcej nieszczęśliwych wypadków w mieszkaniach, niż na ulicach. W roku 1933 zdarzyło się w domach prywatnych 1804 wypadków śmiertelnych, t. j. trzy razy więcej, niż w fabrykach.

Powody?

Jest ich trzy: nieuwaga, nieostrożność, roztargnienie. Wypadki poparzenia dzieci wrzątkiem i popalenia się dochodzą do siedmiu i ośmiu tysięcy, a krzywa ich wzrasta w dniach prania. Statystyki wskazują, jako przyczynę wypadków kotły z bielizną, które kipią; często zdarza się także, że schody bez poręczy są powodem przyciśniętych palców i połamanych rąk. Niebezpieczne są pozatem: otwarte paleniska kuchenne, wysokie okna o niskich parapetach, wielkie szafy w małych pokoikach, nierówne stopnie, nieoświetlone schody do piwnic.

„Vendemiaire", Paryż.



— Nasz wóz odmówił posłuszeństwa. Czy nie mógłby pan nas trochę podwieźć?

„The Passing Show", Londyn.



RADA NADZORCZA.

— Panowie musimy ustalić wyraźnie datę powiedzmy:... w najbliższej przyszłości.

„New Yorker", New-York.

Redakcja: Warszawa, Niecała 3, tel. 2-33-19, czynna w poniedziałki godz. 18—19. Konto P. K. O. Chronos Nr. 14-9-46.

Administracja: Warszawa, Niecała 3, tel. 2-33-19, czynna codziennie 10—13. Prenumerata w kraju: mies. 1 zł. 60 gr., kwart. 4 zł. 80 gr.; zagranicą mies. zł., kwart. 9 zł. Ogłoszenia: za wiersze 1 mm. szerokości 1 szpalty 70 groszy, za tekstem; 90 groszy w tekście.

Redaktor odpowiedzialny: Michał Sass. **Wydawca: Wydawnictwo „Chronos" sp. z o. o.**

Druk. „Monolit", Warszawa, ul. Elektoralna 3, tel. 5.81-92.